№ 31 Warszawa, dnia 18 (30) Lipca roku 1881.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

AUTOR „WOJNY CHOCIMSKIEJ"(*)

WACŁAW SZRENIAWA POTOCKI.

PRZEZ

Wiktora Czajewskiego.

Zastanawiającym jest fakt, że: po świetnych chwilach naszego politycznego bytu, po tej reformie, której dokonały zmiany religijne w Polsce, a szczególniej w rozwoju piśmienniczym, lingwistycznym, po dzielnym Reju, Modrzewskim i Gornickim, po słynnym Kochanowskim Janie, nastąpiły tak śpiesznie, jak nam przekazują pisarze dziejów naszych: upadek głębszego poczucia narodowego poszanowania praw obywatelskich i zjało waciałość całego piśmiennictwa. Zagadkę tę tak trudną do rozwiązania różnie różni tłomaczą: jedni przypisują ją złemu państwowemu urządzeniu, drudzy bucie szlachty i możnowładztwa, trzeci dessydentom; a wszyscy prawie razem szemrzą na Jezuitów i im główną w tym rolę przypisują! Nie myślę bronić Jezuityzmu. Niezaprzeczenie — przyczynił się on wiele swojemi sobkowskiemi naukami do osłabienia ducha i poczucia narodowego.

Wiele też wpłynął na rozwój umysłowy. Pod jego to wpływem wykształciło się nowo wyrosłe pokolenie, lecz żeby na Jezuitów cały ten fatalny upadek kraju zwalić, to niepodobna!

Zastój w naukach, konserwatywny kierunek i t. p., wszystko to jest możliwem w ręku władzy nauczającej, ale w państwie samodzielnem, gdzie potrafiono odebrać prawa duchowieństwu, zmusić go do płacenia podatków, uchylić się od ich sądownictwa, w państwie takiem stałby było i na sposób, którymby łatwo można usunąć przybyszów.

Brak siły moralnej w narodzie, wady ustroju państwowego i sam tron może, wpływały zwolna, wraz z szybko działającym jezuityzmem, na rozwój całej tej oligarchii.

Jednakże za pierwszych Wazów Polska jest jeszcze silnem państwem. Zwycięztwa Batorego, dzielni hetmani: Zamoyski, Żołkiewski, Chodkiewicz, wszystko to świadczyło o życiu i sile narodowej.

Dlaczego jednak literatura występuje tak chwiejnie w tym okresie? Dlaczego brak w niej tego ognia, tej werwy wojennej, która cały naród w tych czasach ogarnęła!

Gdzie szukać opisów tych wypraw Zamoyskiego, Chodkiewicza i Lubomirskiego?

Wszakże nie w sentymentalnych sielankach Zimorowiczów i Szymonowicza, nie w piosnkach pobożnych Miaskowskiego, nie w tłomaczeniach Tassa i Ariosta, dokonanych przez Piotra Kochanowskiego, nie w naśladownictwie Horaciusza, którem celował Sarbiewski. Jednakże niemożebnem jest, aby nie miały swojego odbicia te czyny wojenne w naszej literaturze.

Czyżby okres, zwany *„makaronicznym"* do tego stopnia i w tak krótkim czasie zjałowaciał, żeby nawet nie przechował oddźwięku swoich najulubieńszych wodzów?

Nie! okres ten nie jest jeszcze tak zepsutym jakieśmy go poznali z wielu historyj literatur, gdzie panowie piszący oddzielają najczęściej jakąś linią demarkacyjną jedne utwory od drugich, przecinając częstokroć samego autora, jak np. Klonowicza, który początkowo należy do złotej epoki, a jego „Worek Judaszów" już do innej należy dziedziny.

W piśmiennictwie takich linii trzeba unikać — bo przy utworach prawdziwie zepsutych i duchem i smakiem, napisanych bez werwy i talentu, przy utworach makaronicznych, może się ciągnąć niewielki wątek utworów odpowiadających w zupełności arcydziełom złotego okresu. I niezaprzeczenie tak się dzieje.

Pomińmy już pierwszą połowę okresu „Wazów", który pomimo swej sentymentalności, nie jest jeszcze tak złym zupełnie, a przejdźmy wprost do drugiej połowy, bez porównania słabszej pod względem artystycznym, a pod względem duchowym przeważnie upadłej.

Obok utworów spaczonego w pojęciach Fredry, obok utworów owego zdrajcy Opalińskiego, idą w równej lidze prawdziwe w swoim rodzaju arcydzieła, jak: Potockiego „Wojna Chocimska", nacechowana dowcipem i talentem, i nieposplitego humoru „Pamiętniki" Paska. Zwróciwszy oczy na te dwa utwory (a jest ich i więcej, jak: Prażmowski, Morsztyn i t. p.), już możemy podnieść i zrehabilitować tak poniżony przez historyków literatury okres naszego piśmiennictwa.

Widzimy więc, że w kraju niebrak było nigdy ludzi samodzielnych i rozumnych, a samodzielność ta, wobec jezuickiego wychowania, tem więcej upewnia nas w wyżej wypowiedzianem zdaniu, tyczącem się samodzielności narodowej.

Potocki żył równocześnie z innymi makaronistami, równocześnie z nimi pobierał w kraju nauki, bo śladu jego pobytu za granicą nie spostrzegamy, jednakże nie przejął od tych ludzi ani ich sposobu

(*) „Wojna Chocimska" wydana powtórnie w „Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej" 1880 r. Mniemam, że „Wojna Chocimska" była wcześniej, jak pisze Tyszyński, napisaną, a mianowicie na tych podstawach, że przemowa nie pisze się nigdy przed rozpoczęciem dzieła, tylko dopiero po jego ukończeniu. Ponieważ przemowa jest pisaną podczas elekcyi Korybuta, zatem w roku 1669, „Wojna Chocimska" musiała być przed tym rokiem już ukończoną a nie w 1671 — 1672 r.

pisania — a co więcej, ważnem jest do zanotowania, że uchwycił dopiero pióro w czterdziestym roku życia.

Daty, tyczące się samego Potockiego, i bliższe szczegóły jego życia w bardzo szczupłej liczbie posiadamy:

Potocki Wacław urodził się około 1622 roku, we wsi dziedzicznej Łużnej, na Podolu. Bywał on w wyprawach wojennych za Władysława i Jana Kazimierza (*). Potem osiadł na wsi, ale niedługo tam pozostawał. Sejm walny wezwał go do komisyi, której poruczono zregulowanie granic od strony Szlązka. Niedługo jednak zajmował się tą sprawą, gdyż w roku 1685 nie znajdujemy go już w liście delegowanych.

Jan III wkrótce po wstąpieniu na tron mianował go podczaszym krakowskim, który to urząd musiał z wrodzonem zamiłowaniem spełniać Potocki. Drukował za życia jeszcze wiersz na pochwałę zwycięztw Jana Sobieskiego p. t. „Pełna" (1678 r.) i „Poczet herbów" olbrzymią ale bezwartościową publikacyą (1696 r.) i w tymże roku przeżywszy żonę, dzieci i braci, prawdopodobnie umarł.

Z wielu innych prac, zajmują znaczniejsze miejsce jego przekłady z Barcley'a — *„Argenis"*; inne pozostałe prace: „Syloryt", „Historya Teresy i Gazelli", „Nowy Merkuryusz", „Fraszki", „Wiersze drobne", „Poema na pielgrzymowanie życia ludzkiego", „Nowy zaciąg pod starą chorągiew", „Hymny i ody duchowne", „Siedm psalmów" i t. d. noszą na sobie cechy talentu i celują czystym polskim językiem! Co się zaś tyczy artystycznego ułożenia, twórczości poetyckiej z tych utworów, najwięcej zasługuje na uwagę „Wojna Chocimska" poemat w dziesięciu częściach.

„Wojna Chocimska" do naszych czasów nie była znana zupełnie publiczności. Rękopism tego tak ważnego dla sławy autorskiej utworu, przechodził zwolna z rąk do rąk w rodzinie Lipskich i pozostawał niewydanym.

Potocki tymczasem słynął sobie jako poeta drugorzędny, rubaszny i nieutalentowany. Doprawdy, że niebyło czem rehabilitować sławy pisarza! Język, co prawda, czysty i jędrny w przekładach, nie wywierał najmniejszego znaczenia na wpływ krytyki, która szuka coś więcej, jak tylko czystych polskich wyrażeń! Z tłomaczeń jego nie można było sądzić o jego twórczości.

W pieśniach religijnych nie celował nią wcale! „Pełna" i „Nowy Merkuryusz" mogły tylko uzupełnić pracę autora — ale nie mogły wystarczyć krytykowi do powzięcia sądu o duchowym stanie i twórczości poety — zwłaszcza — że mając przed sobą ordynarne i rubaszne *„Jowialitates"*, musiał się liczyć z tym okazem dowcipu i sąd swój niepomału nim krępować.

Rzeczywiście, „Jowialitates" Potockiego tak jest rubaszne i ordynarne, że w żaden sposób nie można dać go, jako pokarm duchowy, w ręce szerszej publiczności, bez poprzedniego należytego przejrzenia.

Tak więc Potocki, aż do naszych czasów nie był należycie poznanym, i dopiero Szajnosze może on zawdzięczać swoję rehabilitacyą.

Oprócz Szajnochy rehabilitacyi Potockiego podjęli się i inni współpracownicy na niwie literackiej. Mecherzyński Karol skreślił szczególny rozbiór estetyczny „Wojny Chocimskiej" i zamieścił go w „Bibliotece Warszawskiej" z 1861 roku.

Pan Bełcikowski dał krótki i niewyczerpujący szkic w „Przeglądzie Polskim" z 1868 roku, potem Tyszyński Aleksander w „Kronice Rodzinnej" 1874 roku, to jednak potrzebuje gruntowniejszego przejrzenia i rozpatrzenia.

Jedną z gruntowniejszych prac o Potockim, jest praca pana Ludwika Nabiela, pomieszczona w „Bibliotece Ossolińskich" jak również pana Piotra Chmielowskiego w „Tygodniku Illustrowanym" p. t. „Zapomniany poemat Wirginii"; J. I. Kraszewski w „Przeglądzie Archeologicznym" 1881 r. porównał rękopismy „Wojny Chocimskiej".

Skorośmy już zebrali te szczupłe szczegóły o Potockim, możemy teraz przejrzeć „Wojnę Chocimską".

(D. c. n.)

(*) Tyszyński między wieloma błędami, których się dopuścił w swojej przemowie, a zarazem i życiorysie, zanotował jeszcze, że Potocki znajdował się na wielu wyprawach wojennych za Zygmunta III, niezwracając uwagi nawet na daty — boć jeżeli Zygmunt umarł 1632 roku, a Potocki urodził się w 1622 roku, przeto dziesięcioletni chłopiec nie mógł brać udziału w wyprawach wojennych.

NOC.

Czy uwierzysz, o Halino!
Że te światła, co w błękicie
Czystych niebios mają życie;
Co tak cicho i pogodnie,
I uroczo i swobodnie,
Przez powietrzny obszar płyną:
Jak ja z tobą, one z sobą,
Słodkie wiodą pogadanki; —
Między niemi, jak na ziemi,
Jest kochanek, są kochanki,
A bohater górnych krajów,
Co tam kocha, co tam zdradza,
Co się dumnie tak przechadza,
Jako sułtan wśród serajów;
Jest to księżyc hoży, młody,
Jasny, piękny, cud urody.

Czasem, gdy go niebo znudzi,
Wietrzyk wionie, mgła ułudzi,
Wtenczas cichy jego promień
Tu na ziemię lekko spada,
I miłości czystej płomień
W purpurową różę składa,
A tam zdala gwiazdek krocie,
Modrem okiem, w chmur przelocie,
Poglądają w przeniewiercę.
Bo i gwiazdki, o Halino!
Co tak cicho i pogodnie,
I uroczo i swobodnie
Przez powietrzny obszar płyną,
Mają oczy, mają serce.

Ale krótko róży wianek
Pieścił, tulił i zachwycał,
Jedna chwila, a kochanek
Innej lubej już przyświecał.
I w szumiących wód krysztale,
Pryzmatycznym ogniem błysnął,
Każdą kroplę, każdą falę
Czule dotknął, mile ścisnął.

Lecz niedługo, z jasną strugą
Igrał srebrny blask księżyca,
Rzuca tonie, w innej stronie,
Innej lubej znów przyświeca,
I promiennem spojrzał okiem
Na urocze duszy zdroje,
A tym zdrojem i urokiem
Były czyste łeski twoje.
Co tak cicho, o Halino!
Gdy twe serce litość wzruszy,
Przez błębitne oko płyną
W pole cierpień z twojej duszy.
I niestały ten kochanek,
Co już złote gwiazdki zgubił,
Rzucił strumień, rzucił wianek,
Bo łzom twoim już poślubił.
A ty droga, ty kochana,
Po niebieskich błądząc łanach,
Jak do niebos przywiązana,
Ani myślisz o ziemianach.

Ignacy Stopczański.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Poznano Króla; kule padały aż pod koniem jego.

— Naj. panie, rzekł major Schweppe, może raczysz w. k. mość zająć stanowisko nieco odleglejsze od placu boju?

— Czemu? zapytał król Jerzy.

— Kule dosięgają tu w. k. mości.

— Mniejsza o to, odrzekł, tak tu, jak gdziekolwiek bez woli Bożej nic złego się nie stanie.

Następca tronu zbliżył się do ojca.

— Naj. panie, rzekł, pomimo ognia artyleryi, Prusacy w ścieśnionych szeregach posuwają się ku Unstrut.

— A nasza piechota?

— Maszeruje naprzeciw nieprzyjaciela, aby zająć stanowisko odporne.

— Czy dobrze maszeruje?

— Jakby na paradzie.

— Pułki hanowerskie stanowiły niegdyś wyborne wojsko; one to pokonały w Hiszpanii najcelniejsze pułki francuzkie; spodziewam się, że i dziś walcząc pod okiem swego króla, będą godne dawnej sławy.

Jakoż cała piechota hanowerska, uszykowana w kolumny jak do ataku, posuwała się pod ogniem bateryi nieprzyjacielskiej ze spokojem starych, nawykłych do bitew żołnierzy. Sekundę może zatrzymała się zadziwiona gradem kul jakie sypały na nich pruskie iglicówki, lecz w tejże chwili maszerowała dalej, przeszła błotniste wody Unstrutu i zdobywszy bagnetem lasek Badewaeldchen, odważnie ucierała się z nieprzyjacielem.

Z powodu gęstego dymu i nierówności gruntu przez chwilę nie można było widzieć całości bitwy, lecz nagle z wśród kłębów dymu ukazał się jeździec pędzący galopem ku wzgórzu zajmowanemu przez króla, na koniu pruskiego oficera. Był to Benedykt; zabiwszy oficera, galopował na jego koniu, aby zawiadomić króla, że Prusacy rozpoczęli atak.

— Kapitanie Einem, krzyknął król, każ natychmiast kawaleryi uderzyć na nieprzyjaciela.

Kapitan Einem był olbrzymiego wzrostu, najsilniejszy i najpiękniejszy z oficerów gwardyi. Ruszył galopem, wołając: Hurra!

Za chwilę słychać było jakby uragan; była to szarża kawalerzystów gwardyi.

Niepodobna było opisać zapału tych żołnierzy przesuwających się obok wzgórza na którem stał ich ukochany i bohaterski król, który mimo ślepoty, chciał być świadkiem bitwy i tak niebezpieczne zajął stanowisko. Od nieustannych ich okrzyków: Niech żyje król! niech żyje Jerzy V! niech żyje Hanower! powietrze drgało jakby miotane burzą. Tentent koni bijących ziemię kopytami, wydawał odgłos jak podczas trzęsienia ziemi.

Benedykt puścił konia galopem i znikł w szeregach kirasyerów.

Silnie natarci Prusacy, uformowali czworoboki. Pierwszy napadnięty przez kawaleryę hanowerską, stratowany został końmi, i gdy piechota strzelała z przodu, kirasyery zaszli tył armii pruskiej, która, po zaciętej walce, próbowała się cofnąć, ale ścigana zawzięcie, poszła w rozsypkę.

Książę Ernest patrzył przez wyborną polową lunetę, śledząc wszelkie ruchy wojsk i zdawał z nich sprawę ojcu.

Wkrótce luneta ukazywała mu już tylko oddział z jakich 50 ludzi, na czele których stał kapitan Einem, łatwy do poznania po olbrzymim wzroście swoim, a obok niego Benedykta, którego niebieski mundur odróżniał się od białych mundurów kirasyerów.

Szwadron ten pędził od strony Nagelstadt, zwracając się ku ostatniej trzymającej się jeszcze bateryi nieprzyjacielskiej.

Baterya dała do nich ognia z odległości jakich 30 metrów — wszystko znikło w kłębach dymu.

Dwunastu czy piętnastu ludzi widać tylko było nareszcie — kapitan Einem padł pod konia.

— O! biedny Einem! krzyknął książę Ernest.

— Cóż mu się stało? zapytał król.

— Zdawało mi się, że poległ, odrzekł książę, ale nie — Benedykt Turpin pomaga mu wydobyć się z pod konia, — zapewnie tylko ranny... I to nie... Ah! mój ojcze! z pięćdziesięciu żołnierzy zostało tylko siedmiu... z kanonierów jeden... Celuje, strzela... ah! przebóg!... kochany ojcze, straciłeś dzielnego oficera, król Wilhelm, dzielnego żołnierza... kanonier wystrzałem zabił Einem'a, Benedykt położył trupem kanoniera...

Wojsko pruskie poszło w rozsypkę; Hanowerczycy utrzymali plac boju.

Prusacy cofnęli się do Gotha. Rezultat bitwy: Hanowerczycy wzięli 800 prusaków do niewoli; mieli zabitych lub rannych 2,000; zdobyli dwie armaty.

Pełniąc do końca swoją powinność, król przebiegł pole bitwy, aby się pokazać rannym. Po bitwie Benedykt był znów tylko malarzem i myślał jedynie o swoim obrazie. Siadł na jednej ze zdobytych armat, aby narysować ogólny szkic pola bitwy.

Spostrzegł, że następca tronu przyglądał się bacznie rannym i poległym oficerom kirasyerów.

— Wszak w. ks. mość szukasz Einem'a? zapytał.

— Tak, odrzekł książę.

— Tam, na lewo, wśród tej gromady poległych.

— Widziałem jak dzielnie się bił, rzekł książę.

— Walczył jak bohater, rzekł Benedykt, własną ręką zabił z dziesięciu nieprzyjaciół. Gdy już wyciągnąłem go z pod zabitego konia, sam ranny, jeszcze paru położył trupem. Wtedy ostatni z pozostałych pruskich artylerzystów trafił go kulą w czoło. Nie mogąc ocalić, pomściłem go przynajmniej!

XXIV.

Przepowiednia Benedykta sprawdza się coraz więcej.

Po zwiedzeniu pola bitwy, król zwrócił się na szosę i udał się do Langensalza. Główną kwaterę założył w domu wolnych strzelców.

Szef sztabu wydał rozkaz, aby w nocy zachowano się spokojnie.

Najpierw trzema odmiennemi drogami wysłano depesze do królowej, zawiadamiające o odniesionem zwycięztwie, o stanie wojska, żądając przysłania posiłków, jeźli nie nazajutrz to pojutrze, gdyż można się było spodziewać że tak pobici Prusacy, potrzebując wypoczynku, nic nie przedsięweźmą przez jutro.

Noc przeszła wesoło; rozdano pieniądze żołnierzom z rokazem, aby płacili za wszystko co biorą. Muzyka grała *God save the King*, żołnierze śpiewali pieśni patryotyczne.

Nazajutrz cały dzień czekano wiadomości od armii bawarskiej, wysyłano kuryerów; powracali z obietnicami, które się nieurzeczywistniały. Od samego rana zaproponowano Prusakom zawieszenie broni dla pogrzebania poległych i z ran zmarłych — ale nie zgodzili się na to. Sami więc Hanowerczycy zajęli się tą pobożną posługą.

Żołnierze kopali wielkie mogiły, dwadzieścia pięć stóp długie a ośm szerokie, w których dwoma rzędami układano zmarłych. W około stało pod bronią 4,000 żołnierzy, a na ich czele król i następca tronu z odkrytemi głowami, a muzyka grała marsza Beethowena. Nad każdą taką mogiłą przechodził oddział wojska; na znak żałoby dawano ognia z dział.

Municypalność miasta, która przybyła podziękować królowi za wydanie rozkazów wojsku, wykonanych jak najściślej, przez cały czas była obecną podczas smutnego tego obrządku.

O jedenastej wieczorem straże dały znać, że wojsko pruskie nadciąga od Mulhausen. Był to korpus jenerała Manteuffel.

Trzeciego dnia po bitwie, wojska hanowerskie nie odebrały jeszcze żadnej wiadomości od armii bawarskiej, a były otoczone przez korpus 30,000. Około południa, przybył podpułkownik pruski, jako parlamentarz przysłany przez jenerała Manteuffel, który zaproponował królowi, aby się poddał.

Król Jerzy odpowiedział na to, iż wie dobrze, że jest otoczony ze wszech stron, ale tak on, syn jego, sztab główny, jego oficerowie i wojsko postanowili zginąć co do jednego, jeźli nie zostaną im ofiarowane zaszczytne warunki. Jednocześnie król zwołał radę wojenną, na której uchwalono jednozgodnie aby kapitulować, z zastrzeżeniem żeby kapitulacya była honorową.

Niepodobna było uniknąć kapitulacyi — wojsko już tylko trzysta razy mogło dać ognia z dział.

Wojsko już tylko na jeden dzień miało żywność. Cały dwór, nie wyjmując króla, mieli jedynie na obiad kartofle i po kawałku sztuki mięsa; rosół rozdano rannym. Za napój, po szklance cienkiego piwa.

Debatowano nad każdym artykułem kapitulacyi; chciano zyskać na czasie, liczono zawsze na pomoc Bawaryi. Nareszcie, w nocy zgodzono się na następujące warunki, które za króla pruskiego podpisał jenerał Manteuffel, za hanowerskiego, jenerał Arentschild:

„Armia hanowerska zostaje rozwiązana i powróci do swych rodzin.

„Wszyscy oficerowie i podoficerowie są wolni, zatrzymują swoją broń i rynsztunek, a król pruski zapewnia im żołd dożywotni.

„Król, następca tronu i świty ich mogą udać się gdzie im się podoba.

„Majątek króla pozostaje jego własnością nienaruszalną.”

Po podpisaniu kapitulacyi, jenerał Manteuffel przybył do głównej kwatery króla. Wchodząc do jego gabinetu, rzekł:

— Nader mi przykro, najjaś. panie, że przedstawiam mu się w tak bolesnych okolicznościach; my, Prusacy, pojmujemy boleść w. k. mości — pamiętając Jenę. Upraszam w. k. mość, aby raczył wskazać gdzie zamierza się udać i wydać mi swoje rozkazy, czuwać będę, aby mu nic nie brakowało w podróży.

— Nie wiem jeszcze, gdzie się udam, odrzekł król zimno, i gdzie czekać będę orzeczenia kongresu: czy mam pozostać królem czy tylko księciem angielskim. Zapewnie jednak zamieszkam w kraju teścia mego, księcia Sax-Altenburg, lub w państwie cesarza austryackiego. Ale tak w jednym jak w drugim razie opieka pana jest zupełnie niepotrzebną — zatem dziękuję za nią.

Tegoż dnia pierwszy adjutant króla pojechał do Wiednia, aby prosić cesarza austryackiego o pozwolenie królowi zamieszkania w Cesarstwie Austryackim. W odpowiedzi cesarz austryacki wysłał swego adjutanta, aby towarzyszył królowi hanowerskiemu i przywiózł go do Wiednia. Tenże adjutant wręczył królowi wielką wstęgę orderu Maryi Teresy, a następcy tronu nominacyą na kawalera tegoż orderu.

Tegoż jeszcze dnia król wysłał do Wiednia w charakterze kuryerów zawiadamiających o jego przybyciu: radcę regencyi, p. Meding'a; ministra spraw zagranicznych, hrabiego von Platen, i ministra wojny, von Brandis.

Następca tronu zaproponował Benedyktowi Turpin, aby mu towarzyszył do Wiednia; nie znając jeszcze naddunajskiej stolicy, tenże zgodził się na to chętnie, z warunkiem, że nie będzie się zaliczał do dworu i zachowa zupełną swobodę.

Potrzebował najpierw załatwić rachunek z Lenhardt'em, który nie naznaczając żadnej ceny za swe usługi, zostawił to jego uznaniu. Za siedmnaście dni, przez które Lenhardt zostawał w jego usługach, dał mu 400 fr. i sto fr. na piwo. Niezwykła ta hojność ucieszyła Lenhardt'a; oznajmił Benedyktowi, iż przywiązanie jego do dynastyi hanowerskiej nie dozwala mu powracać do Brunświku, pozostającego obecnie w posiadaniu Prusaków. Za to oznajmienie wiernopoddańczych uczuć dostał 200 fr. od króla hanowerskiego i sto fr. od następcy tronu, księcia Ernesta.

Lenhardt postanowił sprzedać wszystkie konie i powozy jakie posiadał w Brunświku i założyć podobny zakład w wolnem mieście Frankfurcie, gdzie przynajmniej nie będzie zmuszony patrzeć na Prusaków.

W Frankfurcie brat jego, Jan, zostawał w usługach znakomitej rodziny de Chandroz, baronowa von Below była chrzestną córką burmistrza miasta — liczył więc, że przy takiej protekcyi będzie mógł stanąć świetnie. Benedykt obiecał mu także niezapominać o nim, jeźliby mu wypadło znów udać się do Frankfurtu.

Rozstanie było serdeczne; Lenhardt mało nie płakał opuszczając Frygę.

Przed udaniem się do Wiednia, król, książę następca i Benedykt zamieszkali czasowo w małym zameczku zwanym *Frohliche Wiederkehr* co znaczy: wesoły powrót.

Tak więc spełniła się przepowiednia Benedykta: *zwycięztwo, utrata korony, wygnanie.*

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT I.

(Dalszy ciąg.)

Scena siódma.

PANI de CÉRAN, KSIĘŻNA siedząc przy stole na lewo i pracując.

Księżna. O! ona mówi po łacinie — pokazuje się, że nie zepsuje kollekcyi.

Pani de Céran. Ciocia wie zapewnie, że pan Revel ma się bardzo niedobrze.

Księżna. On z tego nie wychodzi, ale cóż mnie to zajmować może?

Pani de Céran (siadając). Jakto, ciociu? wszak Revel to drugi Saint-Réault, zajmuje najmniej piętnaście posad, a między innemi dyrektora młodej szkoły, czyli pozycyą prowadzącą do wszystkiego, a tego właśnie potrzeba Rogierowi. Wraca on dzisiaj, a na obiedzie będzie dziś u nas sekretarz ministra.

Księżna. Nowy gatunek, nazywający się Tounier.

Pani de Céran. Dziś wieczór muszę odnieść zwycięztwo.

Księżna. Więc chcesz teraz przerobić syna swego na bakałarza?

Pani de Céran. Ależ to będzie pierwszy szczebel, moja ciotko.

Księżna. Prawda żeś go wychowała na potulnego.

Pani de Céran. Zrobiłam z niego poważnego męża.

Księżna. Tak, tak, ale pomówmy o tem... Młodzieniec 28-letni, który dotychczas, założyłabym się, nie popełnił jeszcze zadnego... głupstwa, no i czyż to nie wstyd!

Pani de Céran. W 30 roku będzie w instytucie, a w 35-tym w Izbie deputowanych.

Księżna. Chcesz więc nanowo zacząć z synem to samo, coś uczyniła z ojcem?

Pani de Céran. Albożem źle postąpiła?

Księżna. Co do męża, nie mówię — był on serca oschłego, inteligencyi miernej...

Pani de Céran. Ciotko!

Księżna. A dajżeż mi pokój — był on poprostu głupcem ten twój mąż!

Pani de Céran. Księżno!

Księżna. Głupcem mającym pozory przyzwoite. Pchnęłaś go w politykę — tak już było przeznaczone, a mimoto wszystko, czegóż zdołałaś z nim dokonać? skończyło się na tem, że został ministrem rolnictwa i przemysłu. Nie ma się czem znowu tak bardzo chwalić. Nareszcie mniejsza o niego, ale z Rogierem rzecz inna. On jest inteligencyą, ma serce albo go mieć będzie — co u licha! chybaby nie był moim siostrzeńcem. Ty jednak nie pomyślałaś o tem?

Pani de Céran. Pomyślałam o jego karyerze.

Księżna. A o jego szczęściu?

Pani de Céran. I o tem myślałam.

Księżna. Wiem, wiem, o Łucyi, nieprawdaż? Piszą do siebie, i o tem wiem, rzecz cacana! Młoda panna, która ma okulary a nie ma biustu... ty nazywasz to myśleniem o jego szczęściu?

Pani de Céran. Księżno, jesteś straszliwą!

Księżna. Aerolit, który upadł tu na 15 dni, a siedzi już od dwóch lat, — pedantka, która prowadzi korespondencye z uczonymi, tłomaczy Szopenhauera...

Pani de Céran. Osoba poważna, ukształcona, sierota, nadzwyczaj bogata i dobrze urodzona, siostrzenica lorda kanclerza, który mi ją polecił... to byłaby dla Rogiera żona...

Księżna. Ta kra lodu angielska? brrr... niech ją tylko uściśnie, a już mu nos zmarznie. Zresztą jesteś na fałszywej drodze — najprzód Bellac jest nią zajęty, tak, ten profesor. O! pytał mi się o nią żarliwie... a potem i ona jest za nim.

Pani de Céran. Miss Watson?

Księżna. Tak, Miss Watson — zupełnie za nim tak jak i wy wszystkie — wszak szalejecie za nim!... Ale ja się znam lepiej na tem od ciebie i wiem, że nie Łucyi potrzeba twemu synowi.

Pani de Céran. Tylko Zuzanny, znam zamiary cioci.

Księżna. Ja się z niemi bynajmniej nie taję. Tak, jeżelim sprowadziła do ciebie Zuzannę, to dlatego, ażeby się Rogier z nią ożenił. Jeżelim chciała aby on był jej opiekunem, to dlatego, ażeby się z nią ożenił — i ożeni się z nią, bądź tego pewną.

Pani de Céran. Liczysz beze mnie, księżno, bo ja nigdy nie zezwolę.

Księżna. A dlaczegóżby nie? Dziewczę...

Pani de Céran. Niepokojące swem pochodzeniem, niepokojące obejściem, bez wychowania i bez ułożenia.

Księżna (wybuchając śmiechem). Podobniusieńka do mnie, gdy byłam w jej wieku.

Pani de Céran. Bez majątku, bez urodzenia.

Księżna. Bez urodzenia! Córka mego biednego Jerzego, tak pięknego, szlachetnego i dobrego... a potem bądź co bądź, twoja kuzynka.

Pani de Céran. Dziecię naturalne!

Księżna. Naturalne? To i cóż że naturalne? Alboż nie wszystkie dzieci są naturalne?... Pobudzasz mnie do śmiechu. Potem on ją przyznał za swoją córkę — a potem choćbyś przeszkadzała niewiem jak, zobaczysz czy ci się uda, gdy się do tego dyabeł wmięsza... no i ja!

Pani de Céran. On się w to wmięszał ale nie po twojej myśli — to ciotka jesteś na fałszywej drodze.

Księżna. A! profesor! wasz Bellac! mówiłaś mi o tem — tobie się zdaje, że nie można być na jego odczycie, ażeby go nie kochać.

Pani de Céran. Zuzanna nie opuszcza ani jednego i robi notatki, i redaguje, i pracuje, pracuje nie na żarty ta Zuzanna! A gdy on jest tutaj, nie odstępuje go na krok, połyka jego słowa. I wszystko to ma być niby dla nauki? Nie, nie, ona nie naukę kocha, ale uczonego, to jasne jak słońce. Dość się jej wreszcie tylko przypatrzéć—ona o niego jest zazdrosną. A ta kokieterya, która jej zkądś przyszła od niedawna? a jej charakter zmieniony? Śpiewa, gniewa się, rumieni, blednieje, śmieje się, płacze...

Księżna. Pogoda kwietniowa — kwiat się rozwija — dziecię się nudzi, ot i wszystko.

Pani de Céran. Tutaj?

Księżna. Tutaj! A cóż tobie się wydaje, że tu się bawią, tutaj?... Czy ty przypuszczasz, że gdybym ja miała 18 latek, siedziałabym tutaj ze wszystkiemi twemi staremi babami i dziadami? Bagatela! Wciskałabym się zawsze między młodych ludzi i, o ileby się dało, najmłodszych i o ile możności najpiękniejszych, i którzyby — o ileby tylko można — umizgali się do mnie najzawzięciej. Bo widzisz, nas kobiety — kobiety odmienne od ciebie — jedna tylko rzecz nie nudzi nigdy, to jest kochać i być kochaną. A im się więcej starzeję, tem lepiej widzę, że nie ma innege szczęścia na tym świecie.

Pani de Céran. Jest godniejsze poszanowania, księżno.

Księżna. Godniejsze poszanowania od miłości? Daj mnie ty pokój! chyba, że chcesz powiedzieć, że gdy to szczęście nam ucieknie, stwarzamy sobie inne; bo gdy się jest starym, ma się fałszywe uczucia tak jak się ma fałszywe zęby, ale jedno jest tylko prawdziwe, jedyne, a tem jest miłość, miłość, powtarzam ci.

Pani de Céran. Romantyczną jesteś, księżno.

Księżna. To odpowiednie mojemu wiekowi, siostrzenico. Kobiety są dwa razy romantycznemi: w 16 roku życia dla siebie, a w 60-tym dla innych. Koniec końców, chcesz ażeby Łucya była żoną Rogiera, ja chcę żeby nią była Zuzanna; mówisz, że Zuzanna kocha Bellaca, ja mówię, że to Łucya. Może się mylimy obie — rozstrzygnie Rogier.

Pani de Céran. W jaki sposób?

Księżna. Powiem mu wszystko i niedalej jak natychmiast, skoro tylko przyjedzie.

Pani de Céran. Chciałażbyś...

Księżna. Wszak on jej opiekunem — potrzeba więc, ażeby wiedział. (Na str.) A potem to go trochę podrażni, czego właśnie potrzeba.

Scena ósma.

Ciż i ŁUCYA w wielkiej toalecie, dekoltowana, z peleryną.

Łucya. Zdaje mi się, że syn pani przybył.

Pani de Céran. Hrabia?

Księżna. Rogier?

Łucya. Powóz jego wjeżdża na podwórze.

Pani de Céran. Nareszcie!

Księżna. Lękałaś się, że nie powróci?

Pani de Céran. Że nie powróci na czas... z powodu tej posady.

Łucya. O! on pisał mi dziś rano, że przyjedzie dziś we czwartek.

Księżna. A pani nie poszłaś dlatego na odczyt profesora, żeby go prędzej zobaczyć? Bardzo ładnie.

Łucya. To nie dlatego.

Księżna (cicho do pani de Céran). A widzisz. (Głośno.) W takim razie...

Łucya. Nie... bo ja szukałam... inna przyczyna mnie zatrzymała.

Księżna. Jednakże nie zdaje mi się, żebyś pani dla tak zwanego Szopenhauera wystroiła się dziś tak świetnie?

Łucya. Alboż nie będzie tu dziś gości?

Księżna (po cichu do pani de Céran). Gości czyli Bellaca, to jasne. (Do Łucyi.) W każdym razie winszuję... i gdyby tylko nie te straszne okulary... dlaczego pani nosisz podobne obrzydliwości?

Łucya. Dlatego, że bez ich pomocy nie widzę

Księżna. Ładna przyczyna! (Na str.) Jest praktyczną, a tego nie cierpię... Zresztą wszystko jedno, jakkolwiek nie jest tak chuda jak sobie wyobrażałam. Te angielki zadziwiają nas zawsze miłemi niespodziankami.

Pani de Céran. Ah! oto i mój syn.

(D. c. n.)

Wystawa starożytności i dzieł sztuki

w zastosowaniu do przemysłu.

Pomysł urządzania różnego rodzaju wystaw jest wyłączną własnością i zdobyczą naszego XIX stulecia. Począwszy od słynnych pierwszych wystaw londyńskiej i paryzkiej, odbywały się one następnie w całym świecie, z różnemi celami i charakterem. I Warszawa dała się unieść ogólnemu prądowi, i szczególniej w ostatnich latach, od czasu wystawy rolniczo-przemysłowej w r. 1874 mieliśmy wiele wystaw, a niewątpliwie żadna nie była bezowocną i wszystkie niemal dawały zwiedzającym dowód rozwoju przemysłu krajowego i nieodłącznego od niego dobrobytu tak jednostek jak ogółu.

Ćwierć wieku już minęło od czasu urządzonej w Warszawie na cel dobroczynny wystawy starożytności w pałacu hr. Potockich, która tak świetnie się przedstawiła i tak ogólne obudziła zajęcie. Obecnie urządzona w Pałacu Brühlowskim, ma za cel zebranie funduszu dla zamierzonego Muzeum artystyczno-przemysłowego, a obok tego przedstawia przemysłowcom naszym wzory z jakich mogą korzystać w zastosowaniu do swoich wyrobów. W ostatnich latach wyrobiło się bowiem powszechne niemal przekonanie, że w pracach bieżących można częstokroć z bardzo pomyślnym skutkiem opierać się na dawniejszych wyrobach. Pomijając już, że wieki przeszłe przekazały nam świetną spuściznę pod względem artystycznym, trudno nie przyznać, że i pod względem techniki, pomysłów i wykończenia stare zabytki przedstawiają znakomite wzory.

Wiele tegoczesnych wyrobów opiera się na naśladownictwie dawniejszych; wiele również pomysłów rzemieślniczych nie zdołało dotąd dorównać powstałym w minionych wiekach, które obok doskonałości wytworów, zalecały się artystycznem wykończeniem i dokładną cechą stylu danej epoki. Z powyższych zatem względów przedmioty zgromadzone na wystawie powinnyby oddziałać korzystnie na wyroby rękodzielnicze naszych rzemieślników — i w tymże celu głównie obecna wystawa urządzoną została.

Lecz dla zwiedzających wystawę nie przedstawia ona samych tylko celów praktycznych, oddziaływa także na uczucia.

Te kosztowne sprzęty, te bogate makaty, rzędy wysadzane drogiemi kamieniami, te prastare zbroje, zwycięzkie sztandary, ta broń, zdobyte buńczuki, wszystko to tak wyraźnie mówi o bohaterstwie i świetnej przeszłości naszej, lecz z drugiej znów strony olbrzymie roztruchany, puhary, kielichy, konwie trują powyższe wrażenie, przywodząc smutne wspomnienia z czasów saskich.

Co do nas, najdłużej zabawiliśmy w małym pokoiku, w którym zgromadzono najwięcej bohaterskich zabytków naszej przeszłości. Tu pod cieniem rozwiniętych sztandarów, obok porozkładanych szabli i pistoletów widzimy pełne zbroje z XVI i XVII stulecia, a między innemi dwie husarskie z dużemi skrzydłami. Widzimy tu nader bogaty zbiór zbroi ze znanej zbrojowni hr. Ordynata Krasińskiego, a między niemi: komplet zbroi polskiej, siatkowy z bronzami, w części blachowany na piersiach i rękawach, z misiurką i czepcem z XVI wieku. Parę zbroi kompletnych, z hełmami o przyłbicach, z XVII wieku. Zbroja polska bez naramienników, wysadzana krwawnikami i bronzami ozdobiona, a składająca się: z napierśnika, hełmu, naszyjnika i dwóch nałokcić. Kolczuga z ozdobami, turkusami wysadzanemi, pod szyją zapinki, na całości rozrzucone, na piersiach orzeł z koroną, berłem i jabłkiem królewskiem, oraz dwie nałokcice używane przez Władysława IV. Hełm okrągły z grzebieniem, wykonany w płaskorzeźbę, na którym pozostały ślady złoceń z wieku XVI, Zygmunta I. Drugi takiż hełm żelazny, złotem ozdobiony, z wieku XVI, który podobno był własnością Zygmunta Augusta. Okrągła tarcza żelazna, wykowana w płaskorzeźbę, z wieku XVI, Zygmunta I. Płaskorzeźba przedstawia walkę gladiatorów z sobą i z dzikiemi zwierzętami; brzeg tarczy ozdobiony fantastycznym zwojem wężów, ślimaków i t. p. Buława z rogu nosorożca nabijana srebrem, rękojeść z kości słoniowej, z w. XVII, podobno była własnością Bogdana Chmielnickiego. Druga buława hetmańska (polna,) stalowa, z gałką okrągłą, nabijana srebrem, wysadzana kamieniami, w środku której mieści się sztylet; wiek XVII. Siedm buzdyganów polskich z XVI i XVII wieku, między niemi buzdygan o sześciu pełnych piórach, złotem nabijany, z wieku XVII; na ścianach piór i rękojeści herb Radziwiłłów, w trzonku sztylet; buzdygan ten należał do Janusza ks. Radziwiłła. Czekan stalowy, nabijany złotem, króla Jana Kazimierza, z XVII w. Ozdoby tego czekana są głęboko nabijane złotem; na bokach ostrza z jednej strony przedstawiają bitwę, z drugiej sojusz z Tatarami; na obuszku z dwóch przeciwległych stron są orły, z trzeciej korona królewska i litery J. C. R; trzonek mahoniowy. Dalej widzimy chorągiew wielką koronną z herbem polskim; dwie inne ponsowe z koronacyi Stanisława Augusta, i chorągiew grodzieńską, niebieską wyszywaną.

Kilka siodeł polskich i tureckich z XVI i z XVII wieku.

Ordynat hr. Zamoyski dał między innemi na wystawę pancerz pozłacany, z Matką Boską Częstochowską. Całą zbroję żelazną w łuskę, z krzyżem na pancerzu, oraz dwa nabiodrniki żelazne ze złotemi ozdobami. Dwie rękawice; dwie żelazne przyłbice końskie wykładane złotem i także nałokcica. Pawęża turecka, zdobna złotem i wysadzana turkusami, własność niegdyś hetmana Sieniawskiego. Siodło z rzędem, ozdobione blachą bronzową, bogato złoconą i cizelowaną.

Pan Jan Strzałecki przedstawił nader bogaty zbiór zabytków z XV, XVI i XVII wieku, a między innemi zbroję łuskową i dwie husarskie polskie z XVII wieku; pancerz z naplecznikiem grawerowany polski z XVII wieku. Parę rękawic grawerowanych roboty włoskiej z XVI wieku. Trzy ryngrafy z konfederacyi barskiej, miedziane złocone, z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Kilkanaście hełmów z XV, XVI i XVII wieku. Pas metalowy polski z XVII wieku. Cztery miecze dwuręczne z XV wieku. Karabelę Stefana Batorego, króla polskiego; na klindze napis i sylwetka tegoż króla; rękojeść żelazna zdobna złotem i turkusami, pochwa czarna jaszczurowa, klamry żelazne ozdabiane złotem i turkusami. Jest to wyrób polski z XVI wieku. Karabela z XVII wieku; rękojeść agatowa bogato oprawna w srebro złocone, grawirowana i wysadzana kamieniami; z jednym jelcem, klinga damasceńska z herbem, topór i ornamentacya nabijana złotem. Oprawa w aksamit karmazynowy ze srebrnem wyzłacanem okuciem, wysadzanem kamieniami. Czekan mosiężny polski z XVII wieku; siedm halabard z rozmaitych epok.

Zwycięztwo Jana Sobieskiego nad Turkami pod Wiedniem, uprzytomnia nam jatagan turecki, srebrny, wykładany koralami, z klingą damasceńską, na niej ustęp z koranu wypisany złotemi literami; własność p. Lessera.

Przytoczyliśmy tylko cząstkę okazów dostawionych na wystawę, a i ta już może świadczyć, że pod tym względem posiadamy jeszcze w kraju nader cenne zabytki.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

„O skażeniu obecnem języka polskiego w prasie, opracował *Ludomir Szczerbowicz-Wieczór.* Płock 1881 r."

Skargi i narzekania na skażenie języka odzywają się u nas począwszy od XVIII w., występowano kolejno to przeciw łacinie, francuzczyźnie, niemieczczyźnie. Działalność ludzi dbałych o czystość języka, znalazła zawsze odgłos i zachętę, mimo, że język nie był pielęgnowany i strzeżony.

Tłomaczenia z dzienników zagranicznych, zostające na łasce częstokroć niepowołanych tłomaczów, tłomaczek, — jakież dziwolągi tam spotkać można nietylko pod względem formy, ale i ducha języka, np. znamy pewną renomowaną tłomaczkę, która stale używa tylko czasu teraźniejszego, bez względu na tok powieści i wymagań języka.

W ostatnich czasach dzienniki nasze poczęły głośno rozprawiać nad potrzebą ujednostajnienia pisowni i oczyszczenia języka z naleciałości; wzywano „Akademię Umiejętności", by się tem zajęła i wydaniem odpowiedniego dzieła położyła kres szerzącym się błędom. Ale wysokie to ciało naukowo już z samej natury rzeczy kroczyć musi, jak falanga ciężko uzbrojona, zwolna, krok za krokiem, a podobna praca wymaga olbrzymiego nakładu pracy źródłowej, która nie da się załatwić od jednego zamachu; więc jest to obowiązkiem naszych lingwistów uprościć drogę i wydaniem odpowiednich podręczników uczynić zadość bieżącej potrzebie. To też pracę pana Szczerbowicza witamy z niekłamaną radością, bo chociaż ona w wielu miejscach szwankuje, niedostatecznie objaśnia, w każdym razie stanowi początek tak koniecznej reformy języka polskiego.

Autor podzielił swe dzieło na sześć rozdziałów. Pierwsze dwa rozdziały: zmienność języków, język książkowy i mowa ludowa, zaznajamiają nas z ogólnemi poglądami autora na lingwistykę, rozdziały następne zajmują się wyliczaniem błędów.

Autor w pierwszym rozdziale mówi o wymieraniu języków i wyśmiewa słowa „nieśmiertelny", „wieczny", stosowane do dzieł ludzkich. Jest to kwestyą sporną o tyle, o ile samo pojęcie wieczności jest mglistem i niejasnem — języki posiadające li-

teraturę i lud, nie wymierają w znaczeniu zupełnego unicestwienia, lecz przetwarzają się, żyją w odmiennej formie, jak to łatwo przekonać się można z każdej obszerniejszej gramatyki porównawczej. Naszem zdaniem, język nie nosi w sobie zarodków śmierci, lecz życia, a istnienie postępu ludzkości, jej rozwój moralny i fizyczny wymaga odpowiedniej zmiany języka; nowe warunki bytu i zdobycze naukowe rodzą potrzebę nowych wyrazów i zwrotów i z zasadą zmiany języka musimy się pogodzić.

W rozdziale drugim p. Szczerbowicz rozbiera stosunek języka książkowego do mowy ludowej. Przeciwko ogólnym zasadom stosowania języka literackiego do ludowego i czerpania ztamtąd zasobu słów, nic nie mamy, jednakże postawienie prawidła by „nikt z piszących nie miał prawa wnosić nic nowego do języka”, jest pobożnem życzeniem, które w żaden możliwy sposób nie znajdzie zastosowania w praktyce, są bowiem potrzeby nowe, wynalazki, rozwój nauk specyalnych etc., które wymagają utworzenia nowych wyrazów lub przyswojenia obcych. W zacytowaniu prawideł, według których należy się kierować w utrzymaniu czystości języka, stawia autor: zachowanie łączności mowy literackiej z ludową; przestrzeganie tradycyj literackich i naśladowanie dawnych wzorów, wreszcie przestrzeganie zasad dobrego smaku i piękna. Otóż, co do ostatniego wymienionego prawidła, nie możemy się z autorem pogodzić, bowiem „dobry smak i piękno” są to pojęcia czysto subjektywne, zależne od indywidualności piszącego lub mówiącego. Zastosowanie tej zasady mogłoby zaprowadzić do podobnych dziwolągów, jak pseudo-klasyków u nas, do przestrzegania sztucznego wstydu i śmiesznych form konwenansowych, co przy rozbudzonym kierunku realizmu utrzymać się nie da, a, naszem zdaniem, jest fałszywą drogą. Następnie dzieli autor materyał językowy na: leksykologiczny czyli słowniczy, t. j. dobór pojedyńczych wyrazów; frazeologiczny, czyli dobór wyrażeń, zwrotów i zestawień; morfologiczny, czyli posługiwanie się odmianą, przypadkowaniem, stopniowaniem i czasowaniem; syntaktaktyczny, czyli składniowy, dotyczący prawidłowej budowy zdań, i stylowy, dotyczący należytego łączenia zdań pojedyńczych złożonych i okresów w jedną całość literacką. Wreszcie mamy jeszcze trzy strony formalne: ortograficzną, dotyczącą używania liter, interpunkcyjną co do znaków pisarskich i tranzlacyjną czyli prawidłowe przenoszenie zgłosek składających wyrazy z jednego wiersza pisma do drugiego.

Uporządkowawszy w ten sposób materyał w grupy, poświęca autor następne rozdziały wymienieniu błędów, najpierw w naszej prasie co do wyrazów i wyrażeń warszawskich, następnie przechodzi do solecyzmów w morfologii i składni, dalej wymienia rusycyzmy, gallicyzmy, germanizmy, wpływy żydowskie i wogóle niewłaściwe używanie wyrazów europejskich, wreszcie pomieszcza przy końcu dzieła trzy dodatki, które uzupełniają powyższe rozdziały.

Ogólna ilość błędów wykazanych przez pana Szczerbowicza, ujęta w statystyczne liczby, daje nam: solecyzmów 152, rusycyzmów 182, innych 130, czyli ogół wytkniętych wykroczeń przeciwko czystości języka polskiego, tak w pojedyńczych wyrażeniach jak i w całych prawidłach i zasadach wynosi 464.

Jak widzimy, pan Szczerbowicz zebrał z wielką skrzętnością i benedyktyńską pracą błędy każące nasz język, dołączając niemal do każdego słowa błędnego cytatę dokładną — za to chwalebne staranie należy się w istocie autorowi szczera wdzięczność i uznanie.

Inna rzecz, czy autor ma wszędzie słuszność po swej stronie; nam się zdaje, że zapał purysty zadaleko zaprowadził szanownego autora, weźmy np. słowo *„wszechludzkie* znaczenie” (str. 144), nie wiemy na jakiej zasadzie autor zalicza je do rusycyzmów, wszak mówimy wszechmocny, i spotykamy się z tem słowem w najlepszych wzorach — podobnie i poprzednie słowo jest prawidłowe. *„Zdarzyć”* w znaczeniu „co los zdarzy” (str. 56) jest czysto polskiem słowem, używanem przez Reja i Kochanowskich. *Modła* (str. 40) jako wzór, słowo używane przez pisarzy XVI-go w. *Pracz* (str. 107) u Lindego w znaczeniu piorącego bieliznę. *Potnieć* i pocić się (str. 54) wymienia Linde jako wzorowe z XVI-go w. *Otoczenie* (str. 57) wyraz polski i prawidłowy. *Zżyć się* (str. 56) fałszywie za błędne uznane. Podobnież *paplarka* (str. 54), *wpić się* (str. 55), *sprzedawać się* (str. 63), *rząd* (str. 101), przymiotnik *kaleka* (str. 142), dnie, plemię i t. d. Nie rozumiemy też prawidła ułożonego przez autora, co do słowa *kryzyl* (str. 69), „by w przypadkach ubocznych a nawet w 1-ym zastąpić ten wyraz obcy swojskim przesilenie”, a to aby uniknąć trudności przypadkowania tego słowa — taka rada kwestyi nie załatwia. Podobnież nie wiemy z jakich powodów autor niechętnie patrzy na nazwisko osobowe *Lubliński*, żądając zmiany na *Lubelski*. W trzecim dodatku polemizuje autor z p. Ad. Ant. Kryńskim, autorem artykułu w „Ateneum” (r. 1879 str. 366—373), który stanął w obronie dzisiejszego zwyczaju, odrzucania końcówek przy nazwiskach żeńskich np. pani Zaręba zam. prawidł. Zarębina; panna Certowicz, zam. praw. Certowiczówna i t. d. Niepochwalając tonu w jakim prowadzi autor tę polemikę, zgadzamy się zresztą z panem Szczerbowiczem, że zarzucając końcowkę, ubożymy nasz język i wykraczamy przeciw duchowi i prawidłom etymologicznym. Ponieważ naszym Czytelniczkom ta sprawa jest wiadomą („Tygodnik Mód” z r. 1880 Nr. 8 — 12), więc poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance.

Z całej książki p. Szczerbowicza wieje duch miłości języka i pragnienie utrzymania go w czystości.

Wojciech Lubicz.

Z KWESTYJ BIEŻĄCYCH.

Gdyby redakcya pozwoliła mi zapisać cały „Tygodnik”, włączywszy w to tytuł, a zostawiając naturalnie ogłoszenie sposobu prenumeraty — nawet w takim razie nie starczyłoby mi dosyć miejsca na wyczerpanie kwestyj bieżących — i oto w czasach ogórkowych, cóż to dopiero będzie w sezonie jesiennym lub zimowym, ale pocóż nam martwić się przyszłością, wszak i, teraźniejszość niezbyt wesoła. Przepraszam — mam w zapasie wiele pocieszających objawów, i jeśli teraz słyszę narzekania, ustąpią one prędzej czy później — zatem zaczynajmy.

Czterdzieści mil Królestwa wejdzie w świat ucywilizowany i to wkrótce, bowiem zatwierdzenie kolei Dąbrowsko-Dęblińskiej jest już faktem spełnionym i należy do przeszłości. Kierunek tej kolei, o ile zdołaliśmy się poinformować, jest następujący: Dąbrowa, Miechów, Kielce, Radom i Dęblin (Iwangród), węgiel nasz przejdzie na koleje południowo-zachodnich gubernii, fabryki w miejscowościach pomiędzy Kielcami a Radomiem zasilające się drzewem, będą spotrzebowywać węgiel, a drzewo i obfite lasy będą się korzystniej oprocentowywać, produkta tak rolne jak fabryczne będą miały zbyt nietylko szybszy ale i korzystniejszy i t. d. i t. d. Nie rozszerzam się zbytecznie nad korzyściami kolei, gdyż nie chcę wkraczać w sferę „Gazety Kolejowej”, która z wytrwałością godną lepszej sprawy, zajmuje się rozwiązaniem pytania czy i o ile koleje są pożyteczne za granicą i u nas. Natomiast nie mogę się powstrzymać od wypowiedzenia nadziei, że z ułatwieniem komunikacyi, łaskawe czytelniczki zechcą modnie się stroić, a tem samem liczniej prenumerować „Tygodnik” i przeczytają niejedną z kwestyj bieżących.

Teraz zaś zapraszamy łaskawe czytelniczki na urządzoną tymczasową wystawę obrazów, do Lwowa, który rok rocznie urządza ją w porze letniej. Na wystawie tej spotykamy prace Grabowskich: Andrzeja i Wojciecha. Pierwszy jest znanym jako portrecista, — Franciszek Smolka jego pędzla, zjednał mu pochwały i medale na wystawach zagranicznych; obecnie dał nam portret swego ojca, który, zdaniem krytyków, do najlepszych portretów zaliczyć można. Wojciech Grabowski, mistrz kredką, wybiera zawsze temata sielskie, pełne poezyi i zaczarowanych światów. Jego „Kwiat paproci”, „Noc świętojańska” lub „Cerkiewka”, któreśmy oglądali w Krakowie przed dwoma laty, wróżyły mu powodzenie, a dziś karton przedstawiający „Księdza śpieszącego z wiatykiem do umierającego”, stanowił jednę z największych ozdób lwowskiej wystawy. Utwór ten zatytułowany „Rankiem na wsi”, gdy ksiądz idzie do chaty przed którą klęczy w żałobie a smutku kobieta, posiada zdaniem znawców niepospolite zalety tak techniczne jako też artystyczne. Czy nie zobaczymy tych utworów w Warszawie? z tem pytaniem zwracamy się do pp. Ungra i Krywulta.

Gdy mowa o wystawie, to już zanotujmy, że 17 lipca zamknięto wystawę sztuki w zastosowaniu do przemysłu w salonach Brühlowskiego Pałacu. Zostawiając opis szczegółowy naszemu sprawozdawcy, wspomniemy, że wystawa odznacza się gustownem i świetnem (uwzględniwszy czas i środki) urządzeniem i zapełnieniem, lecz brakło jej systematycznego układu i dobrego katalogu. Ten który sprzedawano, należałoby nazwać katalogiem grzeczności i wzajemnego uznania, spotykaliśmy tam ceramikę należącą najdalej do XVII wieku, a zapisaną jako z XV wieku, zbroję z XVI wieku, notowaną z XV wieku. Meble przeważnie z czasów cesarstwa, nieliczne z czasów ostatnich dwu Ludwików. Miniatury i pasy odznaczały się bogactwem i ilością; niemal wszystkie fabryki polskie były reprezentowane a spora liczba znalazła się francuzkich fabryk, Słuck i Paschalis dostarczyły najcenniejszych jak zwykle okazów. Również gobeliny Krasińskich i Zamoyskich zwracały powszechną uwagę, niemniej nadesłane przez pana Przybysławskiego, wyroby Huculów i mieszkańców Pokucia. Inicyatorowie wystawy zamierzają wydać album, składające się ze 100 fotografii najcenniejszych przedmiotów, album to wraz z tekstem kosztuje 50 rubli,—kwota to bardzo znaczna, a złożenie jej tem więcej utrudniono, że dozwolono tylko na dwie raty po 25 rubli. Jest to nader niepraktycznem urządzeniem i nie ździwimy się wcale, gdy ilość rozprzedanych egzemplarzy nie pokryje kosztów wydawnictwa. Podział na zeszyty, ustanowienie przystępnych cen, umożliwiłoby zakupno nawet mniej zamożnym, a tak, jak jest, al-

bum będzie w rękach tylko bogatych amatorów. Czy taki był cel wydawnictwa?

Mówiąc o zastosowaniu sztuki do przemysłu, zwracamy uwagę na świetne a nader tanie pismo niemieckie „Gewerbehalle”, które umieszcza ładne chromolitografie i ryciny, wraz z objaśnieniami w kilku językach. Przed pięciu laty pomieszczało to lipskie pismo także polskie zabytki. Czy nie możnaby odnowić tych stosunków z okazyi naszej wystawy, a jeśli nie możemy się zdobyć sami na podobne pismo, to przynajmniej skłonić redakcyą do objaśnień polskich wraz z pomieszczeniem naszych pomników sztuki. Rzucamy tę myśl na rachunek zacnych inicyatorów wystawy. Czy poskutkuje?

Zaznaczamy fakt niesłychany w dziejach warszawskiego dziennikarstwa i panów krytyków. Oto chwilowo zapanowała zgoda, ani jedno pismo nie krzyknęło „veto”, wszyscy pochwalili jednozgodnie dramat p. Juliana Łętowskiego „Izrael na puszczy”, wystawiony po raz pierwszy na scenie letniego teatru d. 13 lipca. Zanim podamy szczegółową ocenę dramatu i gry artystów, niech nam wolno będzie zapisać, że autor, dawniejszy współpracownik naszego pisma, jest młodym człowiekiem, a dramat ten jest jego pierwszem dziełem znaczniejszych rozmiarów, że publiczność kilkanaście razy wywoływała autora i darzyła go burzą oklasków — że wreszcie sam autor skromnie przyjął te pochwały — a pod sekretem dzielimy się z naszemi czytelniczkami nowiną, że w tece autora spoczywa wykończony dramat „Kambizes” i „Firdusi”.

W ogródkach ruch znaczny, w Bellevue ściąga licznych widzów komedya p. L. Świderskiego „Ojcowizna”, która w sposób niezręczny wprawdzie rozwiązuje kwestyą utrzymania się przy ojcowiznie, ale schwycenie typów żydowskich i lokalnych, bawi publiczność ogródkową. W tymże teatrzyku wystawiono komedyą Bałuckiego „Pracowici Próżniacy”. Tendencya zdrowa i szlachetna, ale wykonanie szwankuje; nad akcyą dominuje ton dydaktyczny, długie kazania i nauki moralne — to też nie cieszy się ta komedya powodzeniem—a szkoda! W Eldorado przedstawiono pierwszą oryginalną komedyjkę p. Antoniego Skrzyneckiego pod tytułem „W wagonie kolei”; zręczna, dowcipna rokuje młodemu autorowi powodzenie. W Alhambrze komedya „Król reporterów” autora nieznanego (pseudonim Oracz) zrobiła kompletne fiasko i po drugiem przedstawieniu upadła bez nadziei zmartwychwstania. Teatrzyk ten zeszłego roku odznaczył się sztuką ludową „Czartowska ława” pióra pana Galasiewicza, która cały sezon zajmowała warszawską publiczność. Obecnie, jak się dowiadujemy, ma zamiar pan Puchniewski dać nam nowy obraz ludowy w czterech aktach p. t. „Zalotna wieśniaczka” przez W. D. Gutowskiego, muzyka W. Kruzińskiego, a jak znawcy sądzą, sztuka ta powinna zrobić kasę, mówiąc technicznym językiem teatrów.

Przedemną widzę cały stos nadesłanych nowości książkowych z Krakowa, Lwowa i Warszawy, przeważa poezya — ale to już chyba w następnej pogadance, bo i tak redaktor się krzywi, że tak wiele miejsca zabieram pisząc o kwestyach bieżących.

Wojciech Lubicz.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Korespondent gazety „Nowoje Wremia” bawiąc w Dreźnie odwiedził J. I. Kraszewskiego, i oto jak opisuje swoje wrażenia.

„Nowy dom Kraszewskiego stoi przy tejże samej ulicy „Nordstrasse”, co i dom dawniejszy, w bardzo niewielkiej od niego odległości. Jest to ładna villa na wzgórzu, do której prowadzą prześliczne kamienne schody. Do koła villi roztacza się bardzo piękny ogród, poprzerzynany licznemi ulicami i ścieżkami, zacieniony staremi brzozami, kasztanami, świerkami, sosnami, klombami i lipami. Powieściopisarz-poeta zajmuje dół i pierwsze piętro. Gabinet jego mieści się na pierwszem piętrze; znakomita biblioteka i na piętrze i na dole. Cały gabinet założony książkami; na prawo, na lewo, po wszystkich kątach, na podłodze, wszędzie książki i książki. Na ścianach wiszą portrety rodziny Kraszewskiego i kilka pejzaży jego pendzla. Podarunki jubileuszowe pomieszczone są na dole w jednym dużym pokoju. Najpiękniejsze i najdrogocenniejsze przedmioty są zamknięte w wielkiej szafie dębowej; reszta porozstawiana po kątach, stołach, stoliczkach, półkach, krzesłach i t. p. Żaden opis nie może dać pojęcia o tem co się tam widzi; żaden naród nie uczcił tak swego proroka jak Polacy Kraszewskiego. Czegóż tu nie ma i z jakich stron świata! Kamienie syberyjskie, minerały, złoto, srebro, bronz... Wyroby amerykańskie, afrykańskie, australskie, kaukazkie, wszystkich miast Europy i świata całego gdzie tylko przemieszkują Polacy — a gdzież ich nie ma?... Niemcy w milczeniu rozdziawiają usta oglądając te skarby. „A więc, wołają, macie wszystko czego potrzeba, zatem nic nie powinniście żądać od Europy.” — „A panowie nie wiedzieliście o tem, dopóki nie ujrzeliście tych szaf?”—robi uwagę gospodarz.

„Zmiany w Kraszewskim z pozoru nie znalazłem żadnej, nieprawdą jest, że siwieje raptownie. Włosy mają ten sam kolor, jak przed sześciu laty, ciemnobląd, nieco pomieszane z siwemi; na brodzie tu i owdzie srebrny włos bieleje. Kaszle tylko więcej i bardziej jest pochylony. Ale jakże nie kaszleć i nie zgarbić się, pracując przy biórku po szesnaście godzin dziennie, kiedy na barkach dźwiga się siódmy już lat dziesiątek.”

Gdybyż wszyscy współpracownicy i korespondenci „Nowoje Wremia” tak prawdziwe i bezstronne pisywali sprawozdania!...

+ Dnia 20 września r. b. ma się odbyć w Wiedniu kongres literacki. Tym razem kongres ma się zająć nietylko rozstrzygnięciem zasad własności literackiej, ale przeważnie opracowaniem kwestyi wszechświatowej łączności autorów i pisarzy. Zajęcia jego mają być podzielone na trzy główne działy: 1 kwestya własności literackiej; 2 odczyty, sprawozdania o literaturze współczesnej i t. d., 3 rozwój i rozszerzenie działalności *Międzynarodowego stowarzyszenia literatów*, liczącego obecnie 500 członków. Wiedeń przygotowuje najrozmaitsze zabawy i niespodzianki dla spodziewanych niezwykłych gości; bankiet urządzony przez municypalność, wycieczki zamiejskie, przedstawienia galowe, koncerty i t. p. Zarządy kolei żelaznych w Austryi oświadczyły gotowość bezpłatnego przewiezienia członków kongresu. Może, dzięki blizkości miejsca posiedzeń i ułatwionego przejazdu, literatura polska będzie tym razem przez liczniejszych i znakomitych przedstawicieli reprezentowaną.

+ W Paryżu robią ciągle różne przygotowania do urządzającej się wystawy elektrycznej. Pan Berger zajął wolną część Pałacu Przemysłu, obok salonu wystawy sztuk pięknych. Wzniesione zostaną dwa olbrzymie kominy na przestrzeni między tym pałacem i ogrodom Basseliėvre; dwa potężne motory, jeden parowy, drugi gazowy, umieszczone w pawilonie południowym wielkiej nawy pałacu, będą wprawiać w ruch maszyny elektro-magnetyczne, których prądy obejmować będą całą przestrzeń wystawy, tak dla dostarczenia ośmiuset płomieni do wieczornego oświetlenia, jako też dla wprawienia w ruch rozmaitych przyrządów nadesłanych z Francyi i z zagranicy. Oprócz dolnej nawy i bocznych jej przedłużeń, przeznaczono na te przyrządy i różne przedmioty dwadzieścia siedm sal pierwszego piętra, bo zapowiedź wystawy elektrycznej obudziła nadzwyczajną ruchliwość wynalazców. Komisarze wystawy, pp. Corchey i Berger, otrzymują codziennie nowe propozycye, świadczące, jak obecnie, wszędzie niemal, umysły ludzi naukowych zwracają się ku szerszeniu i rozpowszechnianiu zastosowań elektryczności. Rząd francuzki wyznaczył znaczną summę na pokrycie kosztów tej wystawy i kongresu elektrycznego, mającego wywołać manifestacyą naukową, której rezultaty przewyższą niewątpliwie wszelkie oczekiwania. W tej chwili przedstawioną jest do zatwierdzenia Rady municypalnej propozycya braci Siemens, co do urządzenia od Placu Zgody do Pałacu Przemysłu kolei żelaznej elektrycznej, naumyślnie zbudowanym w tym celu wiadukcie.

+ Na ostatnim wieczorze naukowym (w początku marca r. b. urządzonym w obserwatoryum paryzkiem przez dyrektora tegoż, admirała Mouchez, z wielkiem zajęciem obecni przypatrywali się doświadczeniom wykonanym przez p. G. Trouvé z niektóremi przyrządami elektrycznemi. Do najciekawszych należała ryba świecąca, jako mało znana i zasługująca na wzmiankę.

Celem tego doświadczenia było wykazanie ważnego znaczenia jakie zająć może w chirurgii przyrząd zwany *poliskopem elektrycznym.* Poliskop stanowi szereg reflektorów czyli zwierciadeł, w ognisku których strumień elektryczny ze stosu Planté rozpala do czerwoności drut platynowy. Zwierciadła te bywają rozmaitych kształtów. Jedno z nich może być naprzykład pomieszczone w ustach, a wprowadziwszy je w działanie, jama ustna oświetli się do tego stopnia, że zęby stają się zupełnie przezroczyste i można obejrzeć je jak najszczegółowiej. Osadzone znowu na końcu zgłębnika żołądkowego, zwierciadełko takie robi żołądek przeświecającym. Na tej zasadzie zbudowano rozmaite przyrządy, za pomocą których dentysta, lekarz lub chirurg mogą dokonywać odpowiednich badań.

Przy podobnem oświetlaniu, wytwarzanie ciepła sprowadza się do minimum przez użycie bardzo stałych strumieni elektrycznych i nader cienkich drutów ze śpiżu platyno-irydowego. Promieniowanie ciepła jest nieznaczne, a doświadczenie wykazało, że zwierciadełko oświetlone trzymane w ustach zamkniętych przez 40 lub 30 sekund nie daje ciepła wyższego od temperatury błon śluzowych, czyli od 36 do 38° C.

Co do doświadczeń z rybą świecącą. Pan Trouvé rybce żywej, chowanej w akwaryum, daje połknąć zwierciadełko mikroskopijne, za pomocą drutów przewodnich połączone z trzonkiem przyrządu trzymanego w ręku. W pokoju gasi się światło,

a skoro zwierciadełko przez strumień elektryczny oświetlonem zostaje, całe ciałko rybki staje się przezroczystem, i do tego stopnia błyszczącem, że można policzyć kręgi grzbietowe, i widzieć wyraźnie wszelkie szczegóły organizmu.

To godne uwagi doświadczenie, udało się doskonale na owym wieczorze. Ważność przyrządów badawczych przy pomocy światła elektrycznego polega głównie na tem, że tu ognisko światła znajduje się w bezpośredniej niejako styczności z badanym przedmiotem czy daną okolicą organizmu, i że promieniowanie cieplikowe szchodzi w tym razie do minimum. Wskutek tego poliskop zaczyna być coraz częściej używanym.

Doktor Guyon używa go z powodzeniem w szpitalu dla objaśniania uczni, a doktór Péan użył go przy operacyi kuli siedzącej głęboko z tyłu jamy nosowej. Profesorowie tym sposobem pokazują uczniom budowę i czynności żołądka, oraz badają zaburzenia jakie w nim wywołać mogą pewne zwierzątka dostawszy się tam przypadkowo — a które oni wprowadzają tam umyślnie.

Można także używać poliskopu do przyżegań za pomocą rozpalonego żelaza; w takich razach posiada on żegadło specyalnej formy.

Ale i po za obrębem medycyny i chirurgii, przyrząd ten może ważne oddać przysługi.

+ Obecnie kiedy tylu wynalazców łamią sobie głowy nad wymyśleniem coraz więcej morderczych pocisków i przyrządów, żywe obudził zajęcie pomysł pewnego oficera artyleryi saskiej, pracującego nad wynalezieniem sposobu zabezpieczenia piersi żołnierza od kul nieprzyjacielskich.

Wynalazł on już przyrząd kruszcowy, dość lekki i do piersi przystający, mający osłaniać płuca i serce od kuli z broni ręcznej. Zrobiono płytę stalową $1\frac{1}{2}$ mm. grubą, 35 cm. szeroką, 25 cm. wysoką; mającą 1 kilogr. i 75 gr. ciężkości. Strona wewnętrzna wysłana jest cienką warstwą wełny, przymocowaną do wierzchniej płyty angielską stalą, mającą giętkość i twardość zwyczajnego stalowego pióra. Przed paru tygodniami wykonano w Lipsku próby z takim napierśnikiem, przymocowanym do tarczy drewnianej. Jeden z najlepszych strzelców lipskich, p. Frietschler, dał ośm strzałów, p. Haase trzy strzały z odtylcówek Martin'a. Ośm tylko strzałów trafiło; jedna kula odskoczyła trąciwszy o brzeg napierśnika, i wyrwawszy kawałek kruszcu. Dwie kule trafiły w to samo miejsce (z odległości 175 metrów), z tych jedna przeszła na wylot. Czwarta kula trafiła w dolny brzeg i także płytę przedziurawiła. Kule, które przeszły, leżały zupełnie spłaszczone między wełną a tarczą drewnianą; reszta kul, trafiwszy w środek napierśnika, pozostawiła nieznaczne tylko zagłębienia na płycie, Pierwsza ta, dość szczęśliwa próba, pobudziła znakomitego technika do ulepszenia napierśnika, poczem odbędą się nowe próby.

Gdybyż więcej wynalazców chciało pracować nad ochroną i zabezpieczeniem życia ludzkiego, zamiast wymyślać coraz groźniejsze, więcej zabójcze pociski i przyrządy.

+ Od pewnego czasu wydobywają się z ziemi, w Anglii, w miejscowości South-Schilds, jakieś tajemnicze ognie, które tamże raz już dawniej także się pojawiły. Ognie te pokazują się jednocześnie w różnych miejscach: na polu, na ulicach, pod domami. Mieszkańcy przejęci są niewysłowionym przestrachem, obawiają się bowiem, że pierwszy gwałtowniejszy wybuch może pochłonąć ich domy. W miejscach, gdzie ziemia silnie jest rozgrzana, kopią głębokie otwory i zapełniają je wodą, ale środek ten okazuje się bezskutecznym. Władze zarządziły wszelkie możliwe środki ostrożności.

NOWE WYDAWNICTWA.

Studya estetyczne Wojciecha hr. Dzieduszyckiego wyszły nakładem księgarni polskiej we Lwowie; tom drugi obejmuje: Wenecyą, sztukę chrześciańską w Rzymie i sztukę nadreńską.

Argus. „Kartki satyryczno-humorystyczne zebrał Alfabet", drukiem J. Blumowicza w Wilnie z illustracyami dość zręcznie wykonanemi. Po pierwszej tej książeczce ma nastąpić druga p. t. „Bodziec".

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 14 Іюля 1881 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 31 r. 1881.

RENATA,

przez

STEFANA MARCEL.

(Dalszy ciąg.)

Sylwia wpatrywała się milcząc, z prawdziwie macierzyńskim niepokojem w twarz swego drogiego dziecięcia, chcąc się przekonać czy uśmiech i oczy Renaty potwierdzają to co mówiły usta.

— Biedna ciociu, chcesz się przekonać czy mówię szczerze, mówiła dalej Renata przyciskając do ust pomarszczoną rękę ciotki. Prawda, że gdy tu weszłaś, miałam łzy w oczach. Może są tam jeszcze: lecz te parę łez za przeszłością osuszy wkrótce wietrzyk powiewający od morza... Ale czy nie widziałaś, że płacząc, uśmiechałam się jednocześnie... O! wierzaj mi że był to uśmiech szczery, prawdziwy; uśmiechałam się do wszystkiego co ztąd widzę, i do wszystkiego co kocham: do tego pięknego morza, do naszego starego domu, a nadewszystko do ciebie, babuni, Gwidona, do mojej milutkiej Meliny, słowem, do wszystkich istot i rzeczy niezbędnych do mego szczęścia, od których już nie chciałabym, nie mogłabym się oddalić. O! bez was, zdala od was, nie byłabym nigdy szczęśliwą... Zwłaszcza z nimi! dodała z wyrazem pełnego słodyczy politowania. Nie potrafilibyśmy zrozumiéć się nigdy dążyć do jednego celu.

— O! bezwątpienia nie znalazłabyś obok nich szczęścia, odezwała się Sylwia z wyrazem pogardliwej dumy. Czy przyzwyczajona do samotności, prawdy, ciszy i spokoju mogłabyś znaleźć upodobanie w tem błyszczącem, hałaśliwem i kłamliwem życiu światowem?... Ale pomimo to cierpiałaś, i to z powodu tych lekkomyślnych obłudników, których nie powinnabyś znać wcale!... To mnie najwięcej martwi że stałam się niewinnym powodem twego cierpienia. Powiedziano im że twoja stara ciotka jest bogata, i z tego to powodu tak ci nadskakiwali... Głupcy! sądzili ze nas skarb najdroższy dla nich stworzony! O! moje ukochane dziecię, jakżebym pragnęła być bogatą gdyby mój majątek mógł ci przynieść szczęście takie jakiego ci życzę i jakiego jesteś godną!

— Nie żałuj że nie jesteś bogatą, droga ciociu. Czy byłabym szczęśliwą, gdybym, dzięki majątkowi, została żoną pana Gastona i synową pani de Sarrans? Nie żądam od ciebie nic więcej nadto co mi dajesz ciągle, to jest nic, prócz twoich rad, pieszczot i dobrego przykładu. Nie potrzebuję nic innego obecnie, i prawdopodobnie wystarczy mi to i w przyszłości.

— O! dopóki jakiś zacny i prawdziwie szlachetny chłopiec nie zabierze nam ciebie, odezwała się ciotka, patrząc na piękną twarz Renaty z tą miłością, nadzieją i obawą, jaką myśl podobna budzi często w macierzyńskich sercach:

— Czy mnie porwie gwałtem? zapytała Renata, tonem w którym czuć było jakieś silne postanowienie. Doprawdy, droga ciociu, dodała po chwili, czem dłużej żyję, tem silniej o tem wątpię.

— Ba! powątpiewać o czemś podobnem w dwudziestym roku życia! zawołała z jakąś pomimowolną radością. Moje dziecię, w podobnych razach powątpiewanie jest rzeczą próżną, nawet nierozsądną.

— Ale także często bywa rzeczą pożyteczną i rozumną, odpowiedziała poważnie Renata. Nie tylko że nie jest przeszkodą do szczęścia, ale umacnia go jeszcze, pozostawiając mu tylko podstawy silne, niewzruszone, których ani czas, ani namiętności zachwiać nie zdołają. Wszakże, droga ciociu, żadna z nas nie powątpiewa o niezmiennem przywiązaniu łączącem nas z sobą, o wszechmocności i dobroci Boga... i nie podlega także wątpliwości że kochamy tę rodzinną naszą ziemię, te zielone lasy i to wspaniałe morze.... Czegoż nam trzeba więcej? Posiadamy spokój i wiarę, i możemy nie troszczyć się o resztę.

Ciotka Sylwia nie znalazła na to odpowiedzi, i tylko w duszy błogosławiła i podziwiała swą drogą Renatę.

Teraz już panna de la Trémarais mogła odpowiedzieć na pytania margrabiny dotyczące pani de Sarrans. Powiedziała jej spokojnie i obojętnie, że lekkomyślną i fantastyczną Paryżankę znudziły już przyjemności wiejskie, Bretania, Bretańczycy, i że z tego powodu wyjeżdża do Paryża i nie zamierza już wrócić w te strony, lecz że to nie smuciło bynajmniej Renaty która była zbyt rozsądną, aby mogła przywiązywać wielką wartość do grzeczności i pochlebnych słówek pana i pani de Sarrans.

— Ah! jakże to dobrze, zawołała margrabina z wyrazem zadowolnienia. Przyznaj sama, Sylwio, że byłoby to dla nas bardzo bolesną rzeczą gdyby ten piękny Gaston potrafił zawrócić głowę naszej Renacie!... Mówiąc między nami, są to ludzie nizkiego pochodzenia, dodała pani de Plouernel, i odtąd nie wspomniała już nigdy o sąsiadach z la Tremblade.

Zdawało się że znów dawniejszy spokój i błoga cisza zapanuje w Goëllo, tymczasem w kilka dni później, Renata odebrała list od Gwidona, który ją przejął najżywszym niepokojem. Zaraz po przeczytaniu pobiegła blada i wzruszona do ciotki Sylwii, która wydawała jakieś rozporządzenia w ogrodzie.

— Droga ciociu, rzekła, gdy weszły w boczną uliczkę gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać, czy sądzisz że mogę powiedzieć to babuni? O! to taka dziwna wiadomość! Nigdy mi to nie przyszło do myśli... a jednak można było przewidywać coś podobnego...

Mówiąc to, wskazała ciotce następujący ustęp z listu Gwidona:

„Muszę ci nakoniec wyjawić, droga moja Renato, tajemnicę o której nadmieniłem ci przed wyjazdem. Może już odgadłaś ją sama... W każdym razie nie ma w sobie nic przerażającego i nic zasmucającego... Słowem, pragnę aby nasza droga Melina została moją żoną. Kocham ją od dziecinnych lat moich, i czuję że tylko obok niej mogę znaleźć spokój i szczęście. Mam nadzieję, że potrafię pozyskać wzajemność, że nie jestem także dla niej obojętnym, a pan Mercier, któremu już wynurzyłem moje najgorętsze życzenia, wysłuchał mnie z dobrocią prawdziwie rodzicielską, i pozostawił mi wiele nadziei. Lecz potrzebuję także uzyskać pozwolenie babuni, a sam nie umiałbym powiedzieć czemu obawiałem się zawsze wspomniéć jej o moich zamiarach... Uciekam się więc do ciebie, droga siostro moja, staraj się przeniknąć jej myśli, wpłynąć na jej usposobienie; w razie potrzeby, użyj całej twej wymowy, całego twego wpływu, aby gdy nadejdzie stanowcza chwila, droga babka nasza przycisnęła do serca i pobłogosławiła mnie i moją Melinę.”

Ciotka Sylwia zmieszana, przerażona, upuściła list na ziemię.

— Melina żoną Gwidona! Któżby mógł przypuścić coś podobnego?... Przebiegły to człowiek ten Mercier, dodała po chwili milczenia. Kto wie czy nie rachował już na to wtenczas gdy się zobowiązał odstąpić kiedyś Plouernel tobie lub Gwidonowi?

— Prawda, wrócilibyśmy do naszego ukochanego zamku! zawołała z radością Renata. O! jakżeby to uszczęśliwiło babunię!... Mój Boże! dodała po chwili, czy tylko nie będzie sądzić że zbyt drogo okupiła to szczęście.

Ujęła drżącą ręką dłoń ciotki, i zapytała niespokojnie:

— Czy sądzisz, droga ciociu, że babunia zezwoli?

— Bardzo o tem wątpię, moje drogie dziecię, przewiduję że będziemy mieli z tego powodu wiele zmartwień i przykrości.

— Gwido jednak musi ożenić się kiedyś, a więc czemużby...

— Nie widzę tej konieczności. A ty, moje drogie dziecię?...

— Ja nie pójdę nigdy za mąż; pozostanę na zawsze przy tobie.

Mówiąc to podniosła spokojnie swe śliczne oczy, uśmiechnęła się z czułością do swej przybranej matki i uścisnęła jej pomarszczoną rękę.

XIII.

Co mówiono w miasteczku.

Trzy lata upłynęło od dnia w którym Gwidon wyznał swą tajemnicę i w którym Sylwia i Renata rozmyślały nad jego listem, i od trzech lat już Gwidon de Plouernel przebywał w jakiemś północnem mieście wraz z ambasadą do której był przyłączony. Przez ten czas w Goëllo i la Rouërie zaszły tylko te małe, prawie niewidoczne zmiany, jakie w każdem istnieniu przynoszą lata. W Goëllo, Renata zawsze piękna i miła, prowadzi życie spokojne i ciche. Nie poszła za mąż: w całej okolicy nie było dla niej stosownej partyi; jednych odstrasza jej arystokratyczne nazwisko, drugich brak posagu. Jest jednak ktoś taki którego nie zniechęcają wymienione powody: Renata ma wiernego przyjaciela, który nie zapomni o niej nigdy. Tylko że Alfred Mercier nie mieszka teraz z ojcem, i rzadko bywa w Goëllo; zarządza dobrami ojca znajdującemi się w sąsiednim departamencie. Tam gospodaruje, urządza dom, rozmyśla a może i pociesza się jakąś nadzieją.

Margrabina zaczęła się pochylać a twarz jej pokryły głębsze zmarszczki; zawsze łagodna i miła w obejściu, zdawała się jednak smutniejsza jeszcze i więcej przygnębiona niż dawniej. Ciotka Sylwia mało się zmieniła; przybyło jej co najwięcej kilka siwych włosów i parę zmarszczek na czole: dusze silne i mężne serca nie łatwo się starzeją, dla tego też i ona zawsze jest żwawą, czujną i czynną. Tylko listy Gwidona do Renaty wpływają niekorzystnie na jej humor, każden z nich budzi w niej niepokój

i rozdrażnienie. Przewiduje jak widać że z chwilą jego powrotu wybuchną burze i przykre nieporozumienia.

— Ale, cióciu Sylwio, wszakże *my* tu będziemy, rzekła raz do niej Renata, chcąc ją uspokoić.

— Tak, moje dziecię, ale będą także wspomnienia i tradycye; a wątpię aby wszelkie nasze pieszczoty i przymilenia wymazały z pamięci twej babki owe czasy, w których pan Mercier, naówczas tylko dependent u notaryusza, przychodził do zamku w wytartym surducie, z piórem za uchem, i z niziuchnym ukłonem podawał twemu ojcu papiery do podpisania.

— A jednak wszyscy go teraz poważają... a Melina jest tak piękną i dobrą rzekła Renata z westchnieniem.

Sylwia odpowiedziała tylko powątpiewającem wstrząśnieniem głowy i odeszła przypomniawszy sobie że ma jakieś zajęcie w kuchni.

W la Rouërie były notaryusz zestarzał się widocznie. Przypominał on poniekąd te dziwaczne i wytrwałe rośliny, które rozrastają się bujnie i kwitną na wierzchołkach skał pod wpływem silnych wichrów, a niszczeją na żyznym gruncie lub chodowane w cieplarni. Pan Mercier jest zawsze dość otyły, ma twarz okrągłą i rumianą, ale ruchy jego nie są już tak żwawe i zwinne, ani też umysł równie bystry jak dawniej. Otoczony zbytkiem i wygodami, zdaje się tęsknić za swą kancelaryą napełnioną stosami papierów, a nadewszystko za wycieczkami w zakurzonym kabryolecie, ciągnionym przez Siwego. Zresztą pan Mercier nie chce przypuścić aby ta ociężałość i osłabienie były skutkiem wieku, składa to na burgundzkie wino, które pija po obiedzie, oskarżając je że mu uderza do głowy. W nieobecności Alfreda, który teraz rzadko bywał w la Rouërie, Melina pielęgnowała, bawiła i rozweselała ojca z niewyczerpaną czułością i wesołością. Jej przynajmniej nie zbrakło konkurentów, mogła w nich przebierać do woli. Ale też odrzucała wszystkich niemiłosiernie.

— Panna Mercier de la Rouërie, która będzie bogatą dziedziczką, ma prawo przebierać, mówił często z tego powodu jej ojciec.

Wybierała też tak dalece że nie wybrała nikogo. Odmówiła poborcy jeneralnemu, pułkownikowi, dwóm podprokuratorom, czterym adwokatom, a nawet wicehrabiemu. A jednak nie była ani zalotną ani dumną; jest to zawsze najłagodniejtza i najskromniejsza istota jaką znaleźć można. Ale zapewnie Melina, która pod tym względem nie odrodziła się od ojca i brata, — ma jakieś inne zamiary, których zmienić nie myśli, jakkolwiek nie wyjawia ich nikomu.

Ma się rozumieć że to ponawiające się ciągle odrzucanie przez Melinę wszystkich starających się o jej rękę, było niewyczerpanem źródłem rozmów i wniosków dla sąsiadów i przyjaciół. Mówiono o tem w Kergoat, Saint-Pol, nawet w Brest. Co więcej, poruszano ten przedmiot niekiedy w Goëllo, jeżeli tam trafił się ktoś z gości takich jak pani Babillon, lub ktoś idący w jej ślady.

Musimy wyznać, że ciotka Sylwia nie lubiła tracić czasu na rozmowę z równie gadatliwemi sąsiadkami. Renata była także małomówiącą z osobami nie przypadającymi jej do serca, ale margrabina, jakkolwiek smutna i przygnębiona, uważała sobie za obowiązek bawić swych gości, stosownie do ich usposobienia.

Dla tego też, gdy pani Babillon przybyła pewnego dnia do Goëllo, margrabina wskazując jej krzesło, zadała jednocześnie najprzyjemniejsze pytanie dla każdej takiej chodzącej gazety:

— Cóż tam słychać w mieście, pani Babillon?

— Nic wielkiego, pani Margrabino: nauczyciel pokłócił się znów z merem, i Rada ma zdać o tem raport prefektowi... Państwo Sorin zamierzają nakoniec odebrać corkę z pensyi. Wyobrażają sobie że będzie zawracać wszystkim w głowie, dla tego że śpiewa po włosku i maluje akwarele... Ale najciekawszem jest to, że panna Mercier znów odmówiła jednemu z konkurentów, synowi prezesa trybunału w Sannion; a jednak jest to chłopiec boga ty, dobrze wychowany i bardzo przystojny.

— Dziwna rzecz jak teraz dziewczęta trudno wydać za mąż, odpowiedziała margrabina z przytłumionem westchnieniem.

— Tak, rzeczywiście... Ale jest to tem dziwniejsze gdy idzie o pannę Mercier. Panienka z tak wielkim posagiem! Tylko że to właśnie czyni ją tak wybredną! Jednakże powinnaby się już raz zdecydować, skończy wkrótce dziewiętnaście lat... Wszak to wiek najstosowniejszy? Ja nie miałam jeszcze ośmnastu kiedy poszłam za mąż. Ale bo też jak minie dwudziestka, lata lecą bardzo szybko!

Z piersi margrabiny wydobyło się znów ciężkie westchnienie. Jej ukochana Renata, jej skarb najdroższy, miała już dwadzieścia cztery lat, a nikt nie ubiegał się o jej rękę, czy więc pomimo swej piękności i rzadkich przymiotów nie znajdzie nigdy kogoś takiego, coby potrafił ją ocenić?

Co do Renaty, słowa pani Babillon wywołały tylko na jej usta spokojny uśmiech, ale zniecierpliwiły ciotkę Sylwię. Dostrzegła wprawdzie uśmiech Renaty, ale usłyszała także gorzkie westchnienie margrabiny.

— Wybacz, kochana pani Babillon, jeżeli zwrócę pani uwagę że co dotycze ożenienia lub zamążpójścia naszych bliźnich, najlepiej pamiętać że jak przysłowie mówi: „śmierć i żona od Boga naznaczona"; a powtóre że byłoby daleko mniej starych panien na świecie, gdyby w dwudziestym roku życia spotkały jakiegoś poczciwego pana Babillon... Jakiż to zacny był człowiek!.. Znałam go dobrze. Nie chciałby zrobić przykrości najmniejszemu robaczkowi, a przy tem delikatny, ostrożny, milczący a jednak szczery. Takiego właśnie męża trzeba było dla pani, i byłaś tyle szczęśliwą żeś go znalazła. Podobne sprzeczności w charakterach zapewniają zgodne pożycie.

Margrabina rzuciła na Sylwię błagające spojrzenie, Renata z trudnością powstrzymała uśmiech, a pani Babillon zaczerwieniła się z gniewu. Że jednak obawiała się ostrych docinków ciotki Sylwii, wolała udać że jej nie rozumie, i odpowiedziała z uśmiechem:

— Ma pani słuszność, pewne różnice w charakterach są prawie koniecznym warunkiem szczęśliwego pożycia. Mówią że sprzeczności pociągają się ku sobie... Parę dni temu przytaczano właśnie to zdanie mówiąc o pannie Mercier.

— Z jakiegoż powodu? zapytała z roztargnieniem margrabina, widząc że plotkarka zatrzymała się nagle.

— O! nie wiem doprawdy czy mam powtórzyć?... Zresztą jest to tylko niedorzeczna bajka nie dowodząca niczego... Utrzymują że wnuk pani margrabiny, ten piękny pan Gwidon, był w czasie ostatniego swego pobytu w tych stronach, bardzo... uprzedzającym dla panny...

— Co pani mówi? zawołała z żywością margrabina, i stanęła blada, poważna i drżąca. Gwidon jest margrabią de Plouernel!

— Mówiłam to właśnie tym wszystkim plotkarzom, lecz odpowiedziano mi że pan Mercier zasiada już w Radzie jeneralnej, a lada dzień zasiądzie w Izbie deputowanych, że zresztą panna Melina posiada majątek... majątek który... słowem posag nie do odrzucenia, i... i który... mógłby dopomódz panu Gwidonowi do odzyskania dóbr i zamku Plouernel.

— Margrabia de Plouernel sobie tylko może być winien majątek... lub królowi, odpowiedziała margrabina z wyrazem szlachetnej dumy.

— Właśnie to samo powiedziałam... lecz odpowiedziano mi znów na to, że w naszych czasach podobne związki zdarzają się często. Naprzykład ubogi wicehrabia de Mehan nie sądził że to przyniesie jakąś ujmę jego nazwisku, gdy się ożeni z córką bogatego kupca. Stary baron de la Tour nie pogardził ręką i posagiem...

— Przepraszam panią, przerwała Sylwia, widząc że usta Renaty pobladły, a na twarz margrabiny wystąpił rumieniec bolesnego oburzenia, będziemy miały dosyć na dziś tych zapowiedzi które pani nam już wygłosiła. Mogę tylko pani oświadczyć w imieniu margrabiny zbyt zadziwionej i oburzonej aby mogła sama odpowiedzieć, że siostrzeniec mój Gwidon będzie niewymownie wdzięcznym mieszkańcom Kergoat za to zajęcie się jego osobą... Dostał właśnie urlop i przyjeżdża w tych dniach, jestem więc pewną że osobiście podziękuje komu należy za ten dowód troskliwości.

— Całe nasze towarzystwo będzie bardzo uszczęśliwione z przybycia pana Gwidona, odpowiedziała pani Babillon słodziutkim głosem. Wszyscy w ogóle są mu bardzo życzliwi, i wspominają o nim często... Tak, panno Sylwio, wszyscy; dziś naprzykład jeden z wieśniaków mówił na rynku, że widział rano pana Gwidona jadącego od stacyi kolei na prześlicznym karym koniu, i skręcającego na ścieżkę prowadzącą prosto do parku w la Rouërie.

— Co za niedorzeczność! zawołała z żywością Renata. Gdyby Gwidon przyjechał dziś rano, już dawno byłby razem z nami.

— Jest to rzeczywiście niedorzeczna pogłoska, panno Renato. Wieśniacy są obdarzeni bardzo żywą wyobraźnią, a ludzie wogóle są tak łatwowierni!

— O! po co te wszystkie szumne słowa, odezwała się Sylwia. Łatwo odgadnąć że ów wieśniak musiał być pijanym lub też wziął kogoś innego za Gwidona. Jeden z młodych panów de Pen-Arech bardzo go przypomina, zwłaszcza z daleka. Takiż sam wzrost i takaż sama dumna postawa, takież same czarne, długie włosy.

— Masz słuszność, Sylwio, odpowiedziała z uśmiechem uspokojona margrabina. Musiał to być w istocie Herwe de Pen-Arech. Jest on rzeczywiście podobny do mego Gwidona... tylko nie tak piękny... Biedny mój wnuk, jakże byłby oburzonym dowiedziawszy się iż go oskarżono że mogąc prędzej uściskać siostrę i babkę, wolał odwiedzać sąsiadów.

— Pani margrabino, nie byłoby to znów nic tak nadzwyczajnego, odezwała się pani Babillon, jadąc od stacyi do Goëllo trzeba koniecznie przejeżdżać koło la Rouërie, byłoby to więc...

— Ale jest to rzeczą zupełnie niemożliwą: mój Gwidon kochany miałby po tak długiej nieobecności zapominać o nas dla kogoś ze znajomych, dla obcych ludzi!.. Nie, nie, to być nie może... Potrzebaby na to aby te wszystkie plotki były rzeczywistą prawdą; aby Gwidon zapomniał o wszystkiem i poświęcił wszystko: obowiązki, wspomnienia, przywiązanie rodzinne jakimś szalonym marzeniom, zamiarom połączenia się!...

— Mój Boże, babciu, po co się tak unosić?... To z pewnością musiał być Herwe; wszak wiesz że panowie de Pen-Arech bywają często w la Rouërie, i zasięgają rady pana Mercier który był dawniej ich notaryuszem... A! gdyby tu ktoś z nas był zło-

śliwym, mówiła dalej Sylwia grożąc margrabinie palcem i powiedział Gwidonowi, skoro przyjedzie, że powątpiewałaś o jego przywiązaniu, dopieróżby cię połajał!

Tymczasem Renata, ukrywająca wszelkiemi siłami dręczący ją niepokój, usiadła przy pani Babillon.

— Kochana pani, szepnęła, dosyć już mówiliśmy o tym wypadku tak nic nieznaczącym, który jednak tak wzruszył babunię... Ale byłabym bardzo ciekawa dowiedzieć się coś więcej o małżeństwie starego barona de la Tour, o którym pani wspomniała przed chwilą, jeźli pani wiadome jakieś szczegóły...

Biedna Renata, którą troskliwość o margrabinę i przywiązanie do Gwidona zmusiło do tego kłamstwa, odpokutowała za nie ciężko słuchając rozwlekłego opowiadania przeplatanego złośliwemi plotkami. Ale przynajmniej rozmowa o Gwidonie została przerwana, i margrabina po niejakim czasie uspokoiła się zupełnie.

Nakoniec zatrzymała się przed domem karyolka fermiera który podjął się odwieść panią Babillon do miasteczka. Pożegnała się więc ściskając ręce wszystkich pań z oznakami najżywszej życzliwości, pomimo to jednak zaledwie karyolka ruszyła, rzekła do siebie:

— Otóż jakie to są te wielkie panie... Nie chcą nawet przypuścić aby jeden z ich rodu, Plouernel, mógł pomyśleć o zaślubieniu córki notaryusza! Podobna duma dziwnie wygląda przy takiej nędzy. No! ale zobaczymy kto ma słuszność. Ludzie mają dobre oczy, a Józef nie był pijany. Założyłabym się że wkrótce w Goëllo wybuchnie burza.

Gdy pani Babillon odjeżdżała zajęta tak pocieszającemi myślami, ciotka Sylwia spoglądająca za nią, z oburzeniem rzekła do smutnej i niespokojnej Renaty:

— Prawdziwa żmija z tej kobiety! Ile razy wmiesza się w nasze sprawy, musi zapuścić trochę jadu w nasze serca... Już i ty przez nią cierpiałaś, moja biedna Renato!

— Bardzo mało, droga ciociu, a i to już minęło, lepiej więc zapomnieć o tem. Co do teraźniejszości, wyznaję że jestem bardzo niespokojna... Chciałyśmy przygotować stopniowo babunię, przedstawić jej o ile można najlepiej sprawę tego biednego Gwidona.

— Ten biedny Gwidon, moje dziecię, ściągnie na siebie wiele przykrości, a nam przysporzy nie mało zmartwienia... Ale nie mogło być inaczej, i przeczuwałam to dawno. Starajmy się jednak okazywać zupełny spokój, a jeźli można to i wesołość; teraz zaś wróćmy prędko do pokoju, bo słyszę że babka nas woła.

Weszły do pokoju ukrywając starannie smutek i niepokój; wkrótce też margrabina rozweselona ich swobodną i dowcipną rozmową, w ciągu której Sylwia żartowała z pani Babillon oraz jej ploteczek, uspokoiła się zupełnie. Przez resztę dnia nie wspominała wcale o mieszkańcach la Rouërie, a nawet o wnuku, i dopiero wieczorem gdy Sylwia i Renata odprowadzały ją do jej pokoju, rzekła z wyrazem głębokiej czułości:

— Jestem pewna że drogi mój Gwido myśli o nas w tej chwili, śpieszy do nas, i cieszy się tem że już wkrótce będziemy razem. O! przeczuwam to że zobaczymy go wkrótce... W każdym razie, droga Sylwio, proszę cię, obudź mnie jutro o szóstej rano.

Usnęła spokojnie, szukając myślą ukochanego wnuka w Paryżu, i przesyłając mu swe błogosławieństwo.

Jednocześnie ten, którego oczekiwała tak niecierpliwie, zbliżał się rzeczywiście do Goëllo, tylko że odjeżdżał na swym pięknym karym koniu z przed gościnnego progu w la Rouërie gdzie przybył tegoż dnia rano.

XIV.

Po powrocie Gwidona.

Gwido nie oddalał się samotnie z la Rouërie; pan Mercier postanowił towarzyszyć mu przynajmniej do połowy drogi. Jechali więc wolno obok siebie, a Gwido odwracał się niekiedy aby spojrzeć na pałac w którym pozostawił przyjaciółkę lat dziecinnych, narzeczoną. Cienie jeźdźców i koni padały ciemne i długie na oświetloną blaskiem księżyca drogę, a zakochany młodzieniec, ulegając bezwiednie wpływom majestatycznej ciszy nocy i otaczającego ich smętnego krajobrazu, nie czuł się już tak swobodnym i wolnym od wszelkiej obawy, jak był tegoż dnia rano, śpiesząc do la Rouërie.

— Co ja widzę, kochany Gwidonie!... jakiś niepokój, smutek!... Co to znaczy? zawołał nagle wesoło były notaryusz.

— Doprawdy, mój dobry panie Mercier, przyszło mi na myśl że może postąpiłem nierozważnie idąc dziś rano za głosem serca. Jeźli babka moja dowie się, że zatrzymałem się tu zamiast pośpieszyć do niej, nie łatwo mi będzie uzyskać jej przebaczenie, a teraz właśnie potrzebuję najwięcej całego jej przywiązania

— Pobłażliwości?... Doprawdy nie rozumiem cię, Gwidonie, odezwał się pan Mercier z wyrazem pewnego niezadowolnienia.

— A! nie gniewaj się pan, nie tłómacz sobie niekorzystnie słów moich... Nie mówię tu o sobie lecz o mej babce... Znasz ją równie dobrze jak ja, znasz jej rodową dumę, i niezłomne przekonania... czy mogę wiedzieć jakie co do mej przyszłości utworzyła plany, jakiego związku pragnie dla mnie? Tego się właśnie obawiam, i z tego powodu nie wspominałem jej dotąd nic o moich zamiarach, znanych tylko Renacie i ciotce Sylwii.

— Co do mnie, odpowiedział pan Mercier z uśmiechem zarozumienia, nie potrzebuję się znów tak bardzo obawiać, jestem pewny że nie ma w całym naszym departamencie młodego szlachcica, któryby obecnie pogardził ręką i posagiem mej córki.

— Niestety! nie wątpię o tem, o ile to dotycze wszystkich młodych ludzi, ale starzy inaczej się na to zapatrują.

— Są powody dla których ten związek może się i pani margrabinie wydać dość korzystnym, odpowiedział Mercier. Najprzód liczymy się do najdawniejszych jej przyjaciół, zaszczycała mnie zawsze swem zaufaniem, a całą moją rodzinę swą życzliwością... Prócz tego mamy Plouernel... który daję w posagu mojej Linecie. Czy więc babka i wszyscy przodkowie nie będą się cieszyć, skoro tym sposobem odzyskasz Plouernel?

Kończąc te słowa były notaryusz wyciągnął rękę chcąc pożegnać przyszłego zięcia. Gwidon zwrócił się ku niemu blady, z zaciśniętemi ustami i zaiskrzonemi oczyma, i upłynęło kilka sekund zanim zdołał podać rękę panu Mercier. Zawrzała w nim krew szlachecka, oburzyła się cała duma rodowa na ten dowód mieszczańskiej zarozumiałości, która nie tylko stawia na równi miliony, z majestatyczną potęgą wielkiego nazwiska, ale nawet daje im pierwszeństwo. Następnie stanęła mu w myśli milutka i śliczna twarzyczka Linetty, i swym uroczym wdziękiem uciszyła dumę, stłumiła urazę.

— Tak, wrócilibyśmy do Plouernel... byłoby to dla niej prawdziwą pociechą, szepnął Gwidon zamyślony. Spróbuję... zobaczymy... Posiadam silną wolę i kocham szczerze, a więc muszę zwyciężyć... Dobranoc panu.

Rozłączyli się i Gwido sam już tylko wjechał na step przy końcu którego błyszczało słabe światełko w jednym z okien szarego domu. W innym czasie Gwidon oddychałby z upojeniem wonią drobnych kwiatków rosnących na stepie, powitałby z radością światełko witające go zdaleka. Ale on pozostawił już po za sobą wszystkie radośne wspomnienia i uczucia wywołane jego obecnością; tam gdzie oczekiwano go jeszcze z takiem upragnieniem, z tak gorącą czułością, przyniesie z sobą łzy i cierpienie, wiedział o tem dobrze, i to przekonanie zatruwało mu błogie chwile powrotu pod rodzinną strzechę.

Serce biło mu gwałtownie skoro zadzwonił do bramy. Stary ulubiony pies jego musiał go poznać, bo zamiast szczekać przybiegł do bramy podskakując wesoło.

Wkrótce także ukazał się ogrodnik, stary sługa margrabiny.

— Najświętsza Panno! to pan Gwidon! zawołał z radością.

— Cicho, Janie, otwórz ostrożnie bramę, a jeźli już śpią nie budź nikogo; zrobię im jutro miłą niespodziankę.

Ale Sylwia i Renata nie położyły się jeszcze, i posłyszawszy jakieś kroki i głosy, zeszły zaraz do sieni.

— Renato! droga siostro moja! zawołał Gwidon z radośnem uniesieniem, przyciskając ją do serca, i okrywając pocałunkami jej twarz zroszoną łzami.

— Czy i babunia jeszcze nie śpi? zapytał nieśmiało.

— Owszem, położyła się już dość dawno, odpowiedziała Renata.

— A! tem lepiej... Czy zdrowa?... zapytał spokojniejszym już głosem.

— Nie bardzo, jak zresztą łatwo się tego domyśléć, mój siostrzeńcze, gdy idzie o osobę w tak podeszłym wieku, i która przebyła tak wiele nieszczęść... powiedziała ciotka Sylwia, według której, to drugie, wprawdzie bardzo właściwe pytanie Gwidona, miało tę wadę że nastąpiło dopiero po innem, wypływającem z niezupełnie bezinteresownych pobudek.

— Wybacz, droga ciotko, ten brak rozwagi... Czuję jakiś zamęt w głowie, tak wskutek długiej podróży, jak i radości że znów tu jestem.

— Czy tylko w głowie... może i w sercu także?... Zaraz przekonamy się o tem, powiedziała Sylwia z lekkim odcieniem złośliwości. Powiedz że mi, mój najdroższy siostrzeńcze, którym pociągiem przyjechałeś, aby zrobić nam o jedenastej w nocy tak miłą niespodziankę?

— Pociągiem... idącym z Brestu... który dziś przybył znacznie wcześniej, wybąkał Gwidon, zmieszany tem niespodziewanem pytaniem.

— No! no! no! Pociąg z Brestu pośpieszył się o całe trzy kwandranse!... O ile wiem, nie zdarzyło mu się dotąd nic podobnego, zawołała Sylwia, wyjmując z koszyczka klucz od szafy z bielizną.

Powiedziawszy to wyszła aby przygotować pokój dla siostrzeńca, a Renata rzekła ze łzami w oczach:

— Mój drogi Gwidonie, jakiś wieśniak widział cię dziś rano na drodze do la Rouërie... Tak przynajmniej utrzymywała jedna z naszych sąsiadek w obecności babuni.

— Tego już tylko było trzeba!... zawołał z gniewem Gwidon. Jakaż to rzecz nieznośna; zaledwie się pokażesz, już cały tłum plotkarzy i próżniaków

zaczyna cię śledzić i rozprawia o tobie na całe gardło, jak żaby skrzeczące na bagnach tej nieszczęsnej Bretanii!

— O! nie mów tak, Gwidonie! Ktoś mógłby sądzić że nie kochasz twojej rodzinnej ziemi.

— Myliłby się bardzo, droga moja siostrzyczko. Jakże mógłbym nie kochać tego zakątka ziemi, w którym przebywają wszyscy moi ukochani? Znasz, Renato, moje najdroższe życzenia, wiesz w jakim celu tu przybyłem... Marzę tylko o tem aby zjednoczyć z sobą najdroższe mi istoty, utworzyć z nich jednę rodzinę, żyć obok ciebie mój aniele stróżu, obok Meliny, mej ukochanej żony, obok naszej kochanej babki i ciotki...

— Wybornie, wybornie, mój siostrzeńcze, i cóż więcej jeszcze, przerwała wchodząca właśnie do pokoju Sylwia. Doprawdy przyjemnie słuchać jak się to wszystko łatwo układa w tych dwudziestoletnich głowach!... Wypadałoby jednak zastanowić się czy tak się dzieje w rzeczywistości; czy naprzykład byłoby łatwo doprowadzić mnie, Sylwię de la Trémarais, do przyjaznych stosunków z panem Mercier, niegdyś pisarkiem u notaryusza, obecnie Radcą jeneralnym, a w przyszłości teściem mego siostrzeńca.

— Ah! droga cioeiu, nie dokuczaj mu, on i bez tego już tak przygnębiony! rzekła Renata ściskając pieszczotliwie rękę Sylwii, i zwracając na brata pełne politowania spojrzenie.

— Tak bywa zawsze, i bardzo słusznie, — jeżeli dajemy uczuciu pierwszeństwo nad obowiązkiem, odpowiedziała Sylwia dość ostro; ale dość już na dziś morałów, dodała już łagodniej, grzesznik powinien teraz żałować za grzechy, a za pokutę położyć się i spać. Pokój musi już byc gotowy, kwadrans temu poszła tam Iwona.

Jednak pomimo przedstawień ciotki Sylwii, brat i siostra pozostali jeszcze dość długo razem; Gwido mówił o swych zamiarach, Renata objawiała nieśmiało swe obawy, a chwilami podzielała nadzieje brata.

Nazajutrz rano, zaledwie margrabina przebudzona przez Sylwię, usiadła na łóżku, za drzwiami prowadzącemi do jej pokoju, odezwał się głos wesoły choć lekko drżący ze wzruszenia:

— Dzieńdobry, kochana babuniu! Przyjechałem nakoniec. Czy mogę wejść!?

— To głos Gwidona!.. Mego drogiego wnuka!... Czemu nie powiedziałaś mi Sylwio! Kiedyż on przyjechał?

— O czwartej rano, odpowiedziała Sylwia, która dla spokojności margrabiny, musiała w ten sposób skłamać, i wydała już poprzednio służącym stosowne co do tego instrukcye.

— Biedny chłopczyna, musi być bardzo znurzony!... A jednak czekał dopóki się nie przebudzę aby mi powiedzieć dzieńdobry!... Chodź, mój ukochany Gwidonie... Gdybyś ty wiedział jakie to szczęście dla mnie!... Czemu nas nie uwiadomiłeś kiedy cię zobaczymy? Patrz Sylwio jaki on wysoki, jaki piękny!

Mówiła to ze łzami rozrzewnienia w oczach, z uśmiechem na ustach, przyciskając do serca piękną jego głowę, okrywając pocałunkami twarz jego.

— Ale on taki blady, musi być bardzo zmęczony, dodała wpatrując się w niego. Czemu się nie położyłeś, drogi mój Gwidonie. Byłabym zaczekała dopóki się nie obudzisz... Już sama pewność ze jesteś przy mnie takby mnie uszczęśliwiła, że pozwoliłabym ci spać aż do wieczora

— Jakże mógłbym się położyć nie uściskawszy cię pierwej, droga moja babuniu?... Ale nie mówmy już o tem, zdrowie, siły i spokój nie opuszczą mnie, skoro zezwalasz abym tu pozostał na długo.

Tymczasem weszła Renata, lękająca się trochę tego pierwszego spotkania, i serce jej zaczęło bić silniej z radości, gdy spojrzała na twarz babki jaśniejącą wyrazem błogiego szczęścia i spokoju.

Pięknie się rozpoczął dzień powrotu Gwidona, lecz na nieszczęście, po południu nieprzewidziany wypadek zamącił spokój rodziny i sprowadził burzę. Wszyscy znajdowali się w obszernej i chłodnej altance, gdy na jednej z ulic ogrodu ukazał się ogrodnik prowadzący konia Gwidona którego napoił przy studni. Margrabina spostrzegła go i zadrżała.

— Czyj to koń? Gdzie go prowadzisz? zawołała niespokojnie.

— To mój koń, mój śliczny Chochlik. Pozwól babuniu, abym ci go przedstawił i opowiedział jego historyą. Kupiłem go w Paryżu za pieniądze oszczędzone z mej pensyi. Otóż zgadnij babuniu kto mnie poznał i zaczął ze mną rozmawiać, gdy pewnego dnia pojechałem do Lasku Bulońskiego na moim Chochliku?... Stary baron de la Rocherais, który oświadczył mi, że widząc jadącego na koniu młodzieńca tak szlachetnej powierzchowności, i tak doskonałego jeźdźca, — powtarzam tu jego słowa, zaczął się przyglądać uważnie, i zdaje mu się że poznaje rysy Plouernel'ów, a wreszcie zakończył zapewnieniem że jestem pod każdym względem godnym synem tak dzielnego człowieka jakim był mój ojciec... Ale co ci się stało, babuniu? Nie słuchasz mnie, drżysz, jesteś tak wzruszona!... Renato, czy powiedziałem cóś nierozważnie?

Margrabina stanęła cała drżąca, i zasłaniając jedną ręką oczy, drugą wskazywała konia.

— Ten koń... ten koń! Jechał na pysznym karym koniu, mówiła wczoraj ta kobieta... i mówiła prawdę, to był on rzeczywiście!... Gwidonie, są obecnie ludzie drożsi dla ciebie od nas... Skłamałeś dziś rano; przyjechałeś wczoraj jeszcze, ale serce nie pociągało cię ku nam... bawiłeś cały dzień... w la Rouërie.

Gwidon wstał także, a na twarzy jego malował się żywy niepokój i silne wzruszenie. Sylwia zbladła, i wstrząsała w milczeniu głową, jakby mówiła: „Przewidywałam że się na tem skończy!" Renata śmiertelnie blada, złożyła ręce, i spoglądała na babkę załzawionemi oczyma.

Jednak Gwidon nie wahał się długo; czując że nadeszła stanowcza chwila, odzyskał odwagę.

— Jakże mógłbym kochać kogoś więcej od ciebie, babuniu? odpowiedział biorąc ją za rękę. Jednak nie przeczę że kocham jeszcze kogoś... istotę miłą, łagodną i piękną, którą znam od lat dziecinnych, i którą pragnę zaślubić... tą istotą jest nasza droga Melina!... Powiedz, babuniu, czy nie kochasz jej także?... Przyznaję że źle postąpiłem wczoraj, zatrzymując się przy niej... Ale nie widziałem jej przez trzy lata, a przejeżdżałem tuż koło jej mieszkania... Przebacz mi, babuniu, nie sprzeciwiaj się memu połączeniu z Meliną... Dlaczegóż miałabyś ją odtrącić? Wszakże posiada wszelkie cnoty, wszelkie przymioty zdobywające serca.

— Ale nie posiada ani krwi ani przekonań Plouernel'ów, odpowiedziała dumnie margrabina.

— Ależ, babuniu, takie kastowe różnice nie zgadzają się z wyobrażeniami tegoczesnemi.

— A nie zdaje mi się aby kiedykolwiek zgadzały się z zasadami naszej religii, dodała odważnie Sylwia de la Trémarais.

— Ha! odpowiedziała z goryczą margrabina, nie znam dzisiejszego swiata i panujących w nim przekonań, ale ten, w którym ja żyłam, zwracał pilną uwagę na różnicę stanów. Szlachcić łączył się tylko z równymi sobie; jedynie w rodzinach odznaczających się równie świetną przeszłością jak jego własna, szukał sobie przyjaciół i wybierał towarzyszkę życia.

— Jesteś okrutną, babuniu! zawołał zrozpaczony Gwido. Czy wiesz do czego doprowadziłabyś mnie żądając abym trzymał się tej zasady? Skazałabyś mnie na ciężkie i wieczne osamotnienie. Jakże mógłbym starać się o rękę jakiejś panny z arystokratycznego domu, żyjącej w wielkim świecie, skoro los prześladujący mnie od lat dziecinnych, pozbawił zupełnie majątku, skoro nie zdołam nigdy własnemi tylko siłami przywrócić dawnego blasku odziedziczonemu po przodkach nazwisku?

Słysząc tę gorzką skargę, margrabina wahała się chwilę, wkrótce jednak odezwała się znowu:

— Gdyby nawet całe życie miało ci przejść samotnie, gdyby serce twoje miało być tem zakrwawione, wszystko to byłoby jeszcze lepszem nad mezalians! Ah! Gwidonie, czy i ty jesteś lekkomyślnym i samolubnym jak tylu mężczyzn w obecnym czasie? Spojrzyj na Renatę, na tego prawdziwego anioła, jakież ma widoki na przyszłość, czy może spodziewać się szczęścia? Cóż ją czeka jeżeli nie życie bez nadziei, samotność bez miłości?

— Mylisz się, babuniu, przerwała drżąca Renata.

— Nie przerywaj mi, drogie dziecię, nie czas obecnie na złudzenia i kłamstwa, potrzebuję przekonać twego nierozważnego, niewdzięcznego brata.... Powiedz Gwidonie, czy Renata nie znosi mężnie swego ciężkiego losu? Czy słyszałeś ją kiedy narzekającą? Dla niej nie ma żadnej nadziei, ponieważ jest zarazem córką arystokratycznej rodziny i panienką ubogą. A ty zaledwie w wiosennych latach życia, ty który możesz rachować na jaśniejszą przyszłość, nie masz odwagi walczyć, czekać, i nie myślć o spoczynku i szczęściu, dopóki nie zdobędziesz go własnemi siłami.

— Babciu, odpowiedział Gwidon z żywością, oskarżasz mnie o samolubstwo i lekkomyślność, a jednak mylisz się, przyszłość o której marzę przyniesie szczęście nie tylko mnie ale nam wszystkim... Czy przypominasz sobie obietnice pana Mercier, dotyczące Plouernel'ów, naszych dóbr rodzinnych?... Otóż ta obietnica zostanie spełnioną... Wrócimy do Plouernel, gdyż droga moja Melina dostanie go w posagu. Żenię się bogato... jakże więc możesz sądzić, babuniu, że Renata będzie samotną i opuszczoną? możnaż przypuszczać że i nadal będziemy upokorzeni i nieszczęśliwi?

Gwidon niespodziewanego doznał zawodu; mniemał bowiem że wiadomość ta niewymownie ucieszy margrabinę, że blada i wzruszona wyciągnie do niego ręce, mówiąc drżącym głosem: więc wracamy do Plouernel!... być że to może?... o! dziękuję ci, kochane dziecię!... Margrabina zbladła rzeczywiście, ale ze wstydu i oburzenia, bo załzawione jej oczy oschły w jednej chwili i zabłysły ogniem boleśnie dotkniętej dumy i obrażonego poczucia godności.

— Nieszczęsne dziecię! zawołała, jak możesz tak się łudzić nie tylko co do sądu świata ale i co do moich uczuć! jak możesz tak zapominać świętych obowiązków jakie wkłada na nas wielkie nazwisko i wielkie ubóstwo. Ty, syn zrujnowanego wielkiego pana, zaślubiając bogatą mieszczankę, wyrzekasz się przeszłości, urągasz przodkom, ściągasz na siebie wstyd i upokorzenie... Podobne małżeństwo wtedy tylko mogłoby nie być poniżającem, gdybyś ty był bogaty a ona ubogą!... Czy wiesz co świat o tobie powie, biedny szaleńcze...

(D. c. n.)

Opis do N-ru 30.

(Dokończenie.)

Tunikę krótko sfałdowaną układa się podług znaków i wymiaru wskazanego na ryc. 17; przyszywa ją się na spódnicy w odstępie 20 cent od paska, jednym brzegiem sfałdowanym do 40 c. przyczepia przy bocznym szwie spódnicy, a poniżej liczby 90 cent sfałdowywa tak samo i przyszywa z drugiego boku; linja przerywana oznacza środek przodu. Idące w dalszym ciągu upięcie tylne sfałdowywa się podług znaków i upina podług ryc. 16. Długi, kaftanikowy stanik z baskiną, dopełniony przemarszczanym kamizelkowym plastronem, ma dodane z wierzchu u dołu pleców oddzielne upięcie, ułożone podług ryc. 18 i 16. Krzyżyki i punkta oznaczają w jaki sposób fałdują się skośnie dwa końce, a dolny prosty brzeg stanowi potem brzegi boczne schodzące się w środku. Węzeł górny ułożony z części materyału pozostającej w górze między krzyżykami.

N. 23. Suknia z fałdowaną tuniką.

Tunika dopełniona z tyłu prostym, w bufy podpiętym brytem, z boków zaplisowana w całej długości, z przodu jest szeroko otwarta i odsłania bufowanie na spódnicy. Stanik z baskiną fałdowaną przy plecach, ma przody na gładkiej podszewce w połowie przemarszczone drobniutko, a w górnej połowie zaplisowane płasko. U dołu bawet związany jest wązka szarfą. Suknia odrobiona z kretonu gładkiego i deseniowego, przybrana kokardami i koronką cluny.

N. 24, 20 i 41. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

Ubranie którego przód i plecy przedstawiają ryc. 24 i 41, odrobione jest z jasnej materyi w drobną kratkę i z ciemnego gładkiego kaszmiru. Przemarszczany przód sukni zdobią sute kokardy; długi stanik ma przy plecach fałdowaną baskinę, a z przodu kamizelkę jedwabną, przysłoniętą grubą gipiurową koronką, 16 cent. szeroką. Także koronka zdobi rękawy i zakończa kieszenie, wielkie szmuklerskie guziki z grelotkami dopełniają przybrania. Na ryc. 20 wskazujemy krój i sfałdowanie tuniki użytej z materyi i kaszmiru; a daje połowę przodu, zaszytego w głęboką fałdę, w miejscu oznaczonem krzyżykami i kropką, a następnie przemarszczonego w bufy podług ryc. 24; dolny brzeg bryta oszyty falbaną 6 cent. szeroką, zakończoną szeroką koronką. Tylne upięcie tuniki składa się z szerokiego bryta kaszmirowego (b), zebranego u góry w dwie kontrafałdy; boczne brzegi podpięte w pukle, przyczepione są na spódnicy tylko do dwukropka, dolny brzeg przy gwiazdce przyszyty jest i odwrócony w górę, przez co tworzy rodzaj bufy. U dołu sukni dana falbana 8 cent. szeroka, składana w kontrafałdy, a nad nią dwie bufy po 9 c. szerokie. Na kokardy użyta wstążka atłasowa 6 cent. szeroka. Kapelusz biały słomkowy, z szerokiem wysoko odstającem rondem, podszytem atłasem, przybrany wstążką atłasową.

N. 26. Koronka wywodzona na tiulu.

Odpowiednia do garnirowania strojnych sukien, chusteczek i t. p., wywodzona jest pelą cieniowaną w kolorze ponsowym i piaskowym; ryc. 26 załącza deseń w naturalnej wielkości.

N. 27. Paletocik z marszczoną pelerynką.

Jest formą puszczoną z przodu, a z tyłu lekko wciętą i może być dopasowany podług formy jaką znaleźć można na dawniejszych arkuszach z krojami. Model był z ciemkiego białego korciku, zdobny kolorowemi wypustkami i szarfą z atłasu, przewiązaną nad fałdowaniem u dołu pleców 20 cent. szerokiem. Pelerynka krajana trochę szerzej, przemarszczona jest kilkakrotnie w około szyi.

N. 28. Sukienka z fałdowaniem.

Odrobiona jest w ten sposób, iż zdaje się być złożoną z vêtement formą princesse i z fałdowanej spódniczki; za materyał służy beż w drobną kratkę popielatą z niebieskiem i szafirowy kaszmir; wypustki z atłasu ponsowego i szafirowego. Fałdowanie wzdłuż przodów, stanowiące rodzaj plastronu liczy w górze 9, u dołu 18 cent. szerokości. Szeroki pelerynowy kołnierz, zakończony jest fałdowaniem przy brzegach przednich.

N. 30—33. Serweta lub ręcznik z wyszyciem krzyżykowem.

Rycina 30 przedstawia w maleńkim formacie ozdobny szlak do serwet lub t. p. złożony z trzech części spajanych z sobą. Spajanie to za pomocą sznurowania kolorowym sznureczkiem stanowi rodzaj przyozdobienia, w robocie zaś jest wielkie ułatwienie gdy pasy można wyszywać oddzielnie. Rycina 33 załącza deseń pięknego szlaku, wyszytego ściegiem krzyżykowym podwójnym lub zwykłemi krzyżykami, jak na ryc. 32. Litery i rozety nad frendzlą wyszyć można podług deseni podawanych poprzednio.

N. 36—37. Kapelusz „Beauharnais" i kołnierz.

Rycina 36 przedstawia charakterystyczny kapelusz formą i nazwą przypominający noszone za czasów pierwszego cesarstwa. Wysoko odstające rondo podszyte jest gładko żółtawym atłasem, i suto zagarnirowane koronką 5 cent. szeroką i podpięte kwiatami oleandra. Przybranie zwierzchnie stanowi wielka kokarda z koronkowego szalika i riusza koronkowa.

Kołnierz nakształt pelerynki składa się z dwóch kawałków fałdowanego muślinu, złożonych w kontrafałdy, i oszytych koronką, wykrój wszyty w pasek przysłonięty riuszą koronkową. Kokarda z wstążki atłasowej.

N. 38—42. Ubrania letnie.

N. 38. Sukienka z bluzkowem vêtement.

Do spódniczki całej zaplisowanej, włożone jest długie bluzkowe vêtement, z karczkiem przemarszczanym na gładkiej podszewce, w górnej połowie złożone w płaskie fałdy przepasane szarfą, a poniżej stanu luźno puszczone. Dolny brzeg vêtement oszyty falbaną i bufowaniem marszczonem. Rękawy przy ramionach zdobne bufami.

N. 40. Suknia z upięciem szarfowem.

Szerokie deseniowe szarfy zakończone frendzlą, znowu powołane są w użycie; przy sukni z popielatego beżu przedstawionej na ryc. 40 szarfa taka zastępuje tunikę i nadaje się bardzo zręcznie przy oryginalnem plisowaniu spódnicy. Brzeg stanika z długą baskiną ginie pod fałdami szarfy, przewiązanej podług ryc. 40. Żabot, kreza i mankiety koronkowe.

N. 42. Suknia z krótkiem vêtement.

Do spódnicy składanej w kontrafałdy i tuniki z gładkiego materyału dodane vêtement deseniowe, zapinane na dwa rzędy guzików, ma przody ścięte w zęby, a plecy z baskiną w kontrafałdy przytrzymane kokardą. Takie odrobienie sukni nadaje się zarówno do wełnianych materyałów jak i do letnich dających się prać.



N. 1—3. Ubrania podróżne.

N. 1. Suknia z długim paletotem. N. 2. Ubranie z płaszczykiem. N. 3. Suknia z paletocikiem dla młodej panienki.

Opis do N-ru 31.

N. 1—3. Ubrania podróżne.

N. 1. Ubranie z długim paletotem. Krój podług ryc. 21 i 22 w N. 18.

Paletot odrobiony być może z szewiotu, tweedu lub waterproofu gładkiego, w kratkę lub w paski. Krótka pelerynka z tyłu i na ramionach przecięta u dołu i sznurowana zarówno jak i rękawy, odznacza się stojącym kołnierzem, któren za pomocą wszytego w górze druta jest trochę od szyi odstające wygięty. Kapelusz bronzowy słomkowy, ubrany strusiem piórem i atłasem takiegoż koloru.

N. 2. Ubranie z płaszczykiem. Krój podług ryc. 2 w N. 22.

Krając płaszczyk z bastu jedwabnego lub alpagi, dodać trzeba materyału na sute przemarszczenie pleców. Fryzkę, brzegi rękawów i przodów podszywa się kolorową materyą. Kapelusz z grubej słomy podszyty aksamitem, ubrany 10 cent. szeroką wstążką w cienką kratę, związaną z przodu na kokardę.

N. 3. Ubranie z paletocikowym stanikiem dla młodej panienki.

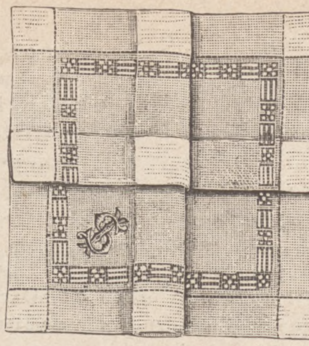
Spódnica beżowej sukni ogarnirowana dwiema szerokiemi plisowanemi falbanami, w górze kilka razy przemarszczonemi, z których dolna dana w koło spódnicy, a górna dochodzi tylko do draperyi upiętej z tyłu z krótkiego bryta. Paletocik zapięty z przodu na kryte guziczki, ozdobiony w kilka rzędów naszytą plecionką złotą i stalową. Kapelusz słomkowy ubrany wstążką.

N. 4—7. Dwie chusteczki do nosa, ozdobione kratką i haftem „point d'armes". Deseń do ryc 5 na dodatku z krojami fig. 33.

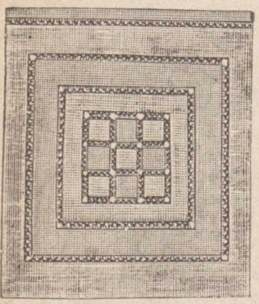
Obie chusteczki trzymające 40 cent. w kwadrat, zdobiły kratki ażurowe i haft point d'armes dawniej upowszechniony, następnie zarzucony, a dziś znów bardzo modny do chusteczek, krawatek i bielizny do pościeli. Na ryc. 6 podajemy w naturalnej wielkości kwadrat do r. 4. Ryc. 7 przedstawia trochę powiększoną lewą stronę haftu, na której widać dokładnie sposób roboty. Co drugi kwadracik naprzemian, dla większej wypukłości i odznaczenia podkłada się pod haft z lewej strony, ciemną tasiemkę lub plecionkę, którą obcina się po odrobienie pierwszego pokładu krzyżowanych ściegów; kratkę ażurową robi się przed haftem. Na ryc. 4 haft i kratki robione są na obrąbku na którego podłożenie zostawia się z brzegów potrzebną ilość materyału następnie z pod całych haftowanych kwadratów i z pod ciemniej odznaczającego się paska szlaku, wycina się materyał w podłożeniu obrębu. Na ryc. 5 haft robiony jest na chusteczce 1 cent., nad obrębem 5 cent. szerokim, przyszytym kratką ażurową. Deseń haftu na którym cienkiemi linijkami oznaczone są miejsca kratek, na które wyciąga się 4—5 nitek, dajemy na fig. 33. Podłużne figury obrabia się tylko jednym rzędem ściegów krzyżowanych z lewej strony, gdy w kwadracikach daje się dwa pokłady ściegów, pierwsze idą wzdłuż, drugie w poprzek.



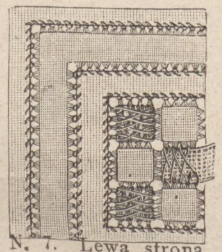
N. 4. Chusteczka z ozdobnym obrębem, z haftem „point d'armes". Patrz ryc. 6 i 7.



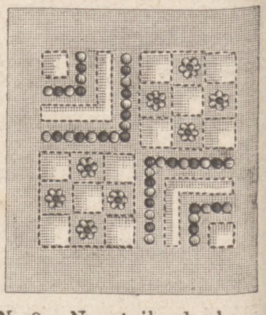
N. 5. Chusteczka z haftowanym szlaczkiem. Deseń na arkuszu fig. 33.



N. 6. Kwadracik do obrębu do chusteczki ryc. 4. Patrz lewą stronę w powiększeniu na ryc. 7.



N. 7. Lewa strona kwadratu ryc. 6. Wykonanie ściegu zwanego „point d'armes" na tasiemeczce.



N. 8. Narożnik do krawatki rycina 24. Haft „point d'armes".

N. 9. Stanik z jaśniejszą szmizetką.

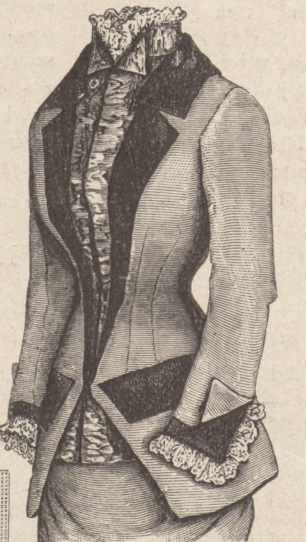
Bardzo ładne i korzystne dla osób szczupłych, są staniki z 5-ciu poprzecznemi, głębokiemi fałdami, zaczynającemi się 21 cent. poniżej wykroju szyi, na które przy krajaniu dodaje się potrzebną ilość materyału. Fałdy układa się na gładkiej podszewce stanika, której górną część, nad fałdami, pokrywa oddzielnie przykrojony kawałek wierzchu. Do stanika z atłasu ciemno-heljotropowego, część szmizetkowa, była w kolorze jasnolilla. Garnirunek stanika i rękawów był z blondyny 12 cent. szerokiej. Płaskie guziki z konchy perłowej ozdobione malowidłem kolorowem.



N. 9. Stanik ze szmizetkowem przybraniem.

N. 10. Stanik z kamizelką.

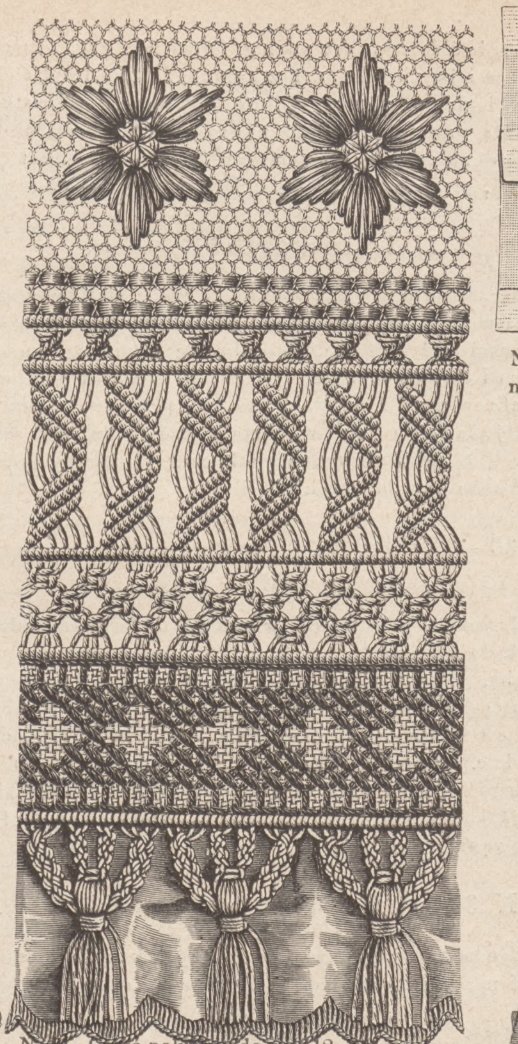
Przy sukni beżowej kamiennego koloru, przybranej aksamitem i morą oliwkową, paletocikowy stanik z fałdowaną przy pleckach baskiną, był przybrany takiemiż materyałami. Do przodów skośnie otwartych u dołu ozdobionych aksamitnym kołnierzem z długiemi ranwersami, dodana była morowa kamizelka. Do rękawów w trójkąt wywiniętych, dodane były od spodu, 10 cent szerokie aksamitne mankiety.



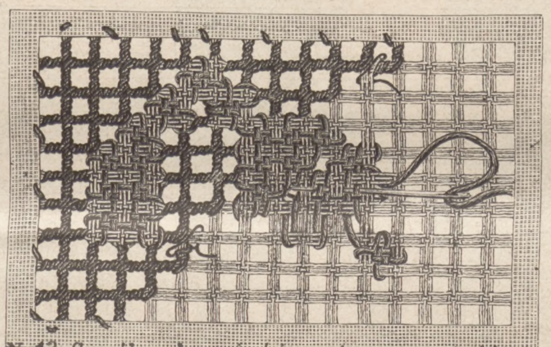
N. 10. Stanik z kamizelkowem przybraniem.

N. 11 i 12. Teka na chustki od nosa.

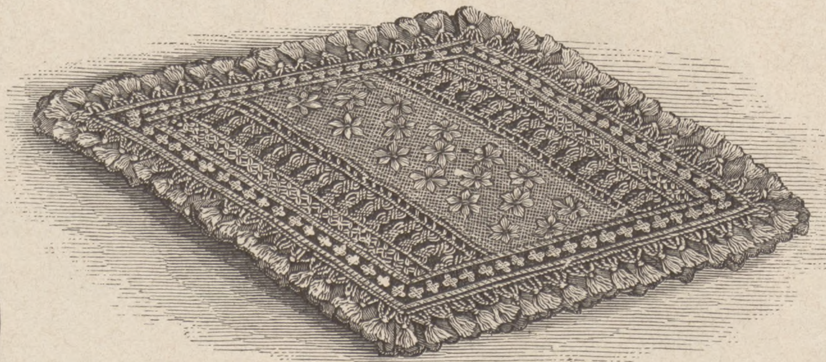
Cerowanie na tiulu, haft krzyżykowy i wiązanie macramé — trzy najmodniejsze dziś rodzaje robót, połączone są do przyozdobienia saszetki, czyli teki na chustki od nosa. Pokrywający całą zwierzchnią stronę kwadrat, mający 23 cent., składa się ze środkowej, 10 cent. szerokiej wstawki tiulowej, z dwóch wstawek macramé $5 \frac{1}{2}$ c. za któremi dane 2 cent. szerokie szlaczki, ro-



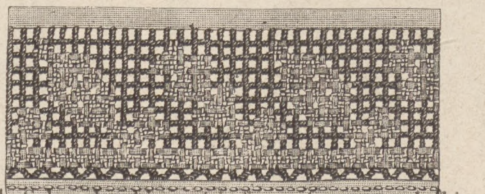
N. 11. Część pokrycia do ryc. 12. Wywodzenie na tiulu, wyszycie krzyżykowe i robota wiązana.



N. 13. Sposób wykonania ściegu ażurowego włoskiego zwanego „punto tirato" do ryc. 14.



N. 12. Saszetka na chusteczki do nosa, ozdobiona wyszyciem na tiulu robotą macramé i wyszyciem krzyżykowem. Patrz ryc. 11.



N. 14. Szlaczek robiony ściegiem ażurowym włoskim. Powiększona próbka roboty ryc. 13 Wązki szlaczek krzyżowy na dodatku z krojami i deseniami N. 2.



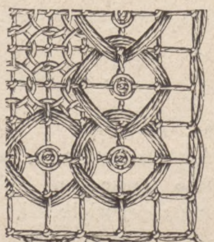
N. 16—17. Kaftanik japoński skośnie zapinany do rannego ubrania. Krój N. III, fig. 4—7a.



N. 18—19 Kaftanik ranny ozdobiony zakładkami. Krój N. III. fig. 4—6a.



N. 15. Serweta na środek nakrytego stołu. Haft krzyżowy, deseń na dodatku N. 1—2.



N. 20. Szlaczek i wywodzenie tła do czepeczka siatkowego ryc. 4 w N. 32.

bione krzyżykami jedwabiem ponsowym na taśmie kanwowej. Pod szlaczkami przechodzą płasko rozłożone nitki od macramé, z których na zakończenie wiąże się wązką frendzelkę; do podłużnych brzegów teki robi się frendzelkę oddzielnie i podszywa pod szlaczki kanwowe. Obiedwie części teki są z kawałków ponsowego atłasu, trzymających 24 cent. w kwadrat, na podszewce z perfumowanej waty i białej jedwabnej, pikowanej materyi, w koło oszyte atłasową, 5 cent. szeroką falbanką, na którą spada frendzelka. Obiedwie części związane są z dwóch stron ze sobą.

N. 13—14. Ścieg włoski ażurowy, zwany „punto tirato” na rolety, zasłonki do szyb i t. p. Deseń na dodatku z krojami N. 2.

Na ryc. 13 i 14, dajemy próbki nowego rodzaju roboty ażurowej na płótnie niezbyt cienkiem niezmaglowanem z wyraźnie odznaczającemi się nitkami, w którem najpierw w odstępach 3 nitek wyciąga się wzdłuż i wszerz po trzy nitki i tym sposobem otrzymuje się równą ażurową kratkę, którą w miejscach stanowiących tło, obrabia się ściegiem sznureczkowym bawełną ponsową, sposobem wskazanym na powiększonej próbce, ryc. 13. Kratki najlepiej obrabiać w kierunku skośnym, idąc tam i napowrót. Miejsce stanowiące deseń zapełnia się między kratkami ściegiem cerowanym, nitką dwa razy tak grubą jak nitki wyciągane z płótna, przewłócząc tam i napowrót tak wzdłuż jak wszerz kratki ażurowe, przyczem pozostałe nitki białe płótna, wybitnie odznaczają się wśród wyszycia ponsowego. Wszelkie desenie krzyżowe przeznaczone do roboty na płótnie lub podłożonej kanwie, mogą służyć do tego ściegu, przyczem liczyć trzeba każdą ażurową kratkę za jeden krzyżyk. Cała piękność takiej roboty uwydatnia się dopiero przy przebijaniu światła i dlatego głównie używana bywa do rolet, zasłonek na szyby lub na firanki do drzwi szklanych.



N. 22. Wyszycie złotem, ściegiem tamburkowym na koronce do kapelusza ryc. 32.



N. 23. Kosz na papiery ozdobiony monogramem haftowanym. Deseń na dodatku fig. 34.

N. 15. Serweta na środek nakrytego stołu. Robota krzyżowa na płótnie. Deseń N. 1 i 2 na arkuszu z krojami.

Serwety podłużne służące do rozpostarcia na środku obrusa, zwykle bywają płócienne, ozdobione kolorowym krzyżowym haftem. Ryc. 15 przedstawia serwetę w której deseń szlaku pozostawiony jest biało, a tło zarobione ponsowo lub niebiesko, z obydwóch stron na tle płóciennem wyszyte przysłowia lub zdania. Brzegi oszyte koronką niciana.

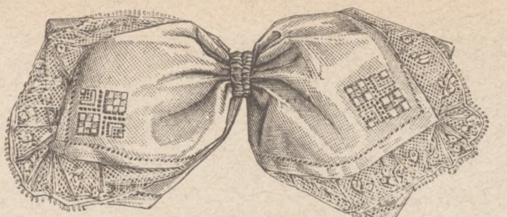
N. 16—17. Kaftanik negliżowy. (Japonaise) skośnie zapinany. Krój N. III fig. 4—7.

Kaftanik luźny przypominający suknie japończyków,



N. 21. Szlak cerowany na siatce „Filet-antique” i wyszycia ściegiem na dwie strony.

przykroić można podług wyżej podanej formy, na której cienka linijka oznacza krój skośnie zachodzącej, zwierzchniej połowy przodu i formę szerokich rękawów, a na fig. 7 podany jest wykładany kołnierz, używany do takich kaftaników. Gdy pojedyńcze części zeszyjemy podług jednakowych znaków, trzeba zwierzchnią część rękawa trochę przymarszczyć i dopiero wszyć w pachę. Ryc. 16—17 przedstawia modele odrobione z satynki, deseniem i kolorami podobnej do materyi japońskich; brzegi oszyte skośnemi plisami 7 i 5 cent. szerokiemi. Przody zapinają się na kryte guziki.



N. 24. Kokarda krawatowa z chusteczki batystowej. Patrz narożnik ryc. 8.



N. 25—27. Trzy parasole podróżne.

lencienką 3 cent. szeroką. Kołnierz składać się może z trzech jedna na drugą zachodzących falban, jak na ryc. 18, lub z jednej jak na ryc. 19. Kokardy ze wstążki w atłasie 3 cent. szerokiej.

N. 21. Szlak z siatki (filet antique) i wyszycie ściegiem na dwie strony.

Na modelu siatka takiej jak deseń cienkości, robiona była z jedwabiu fijołkowego, a deseń cerowany był nićmi białemi, ściegiem point de toile zwanym. Z boków na płótnie białem,



N. 31. Kapelusz ze słomkowej torsady.



N. 32. kapelusz z główką z kwiatów. Patrz próbkę koronki w naturalnej wielkości ryc. 22.

N. 18—19. Kaftanik ozdobiony zakładkami. Krój N. III, fig. 4—6.

Ryc. 18 i 19 przedstawia kaftanik batystowy, oszyty koronką, któren z takąż spódniczką z trenem przeznaczony był do stroju rannego. Z przodu dany plastron, cały w drobne zakładki zaszyty. Długość krótszych boczków i pleców dopełnia garnirunek, złożony z dwóch 10 i jednej 20 cent. szerokiej plisowanej falbany, oszytych wa-

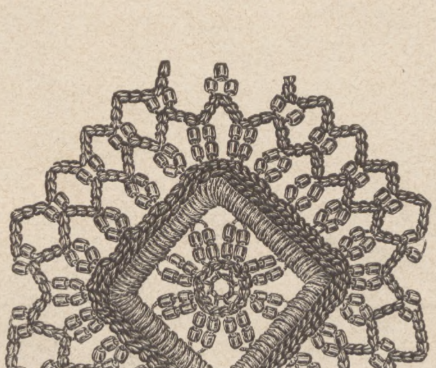


N. 28—29. Vêtement płaszczykowe. Jedna rozeta w naturalnej wielkości do gipiury szydełkowej ryc. 30. Krój i próbka gipiury N. IV, fig. 8—15.

gałązki wyszyte jedwabiem fijołkowym, ściegiem pojedyńczym na dwie strony. Taka siatka na tle grubszem i rzadszem białem, biało cerowana stanowić będzie ładny szlak do bielizny kościelnej, rolet, firanek i t. p., a na tle cienkiem białem cerowana jedwabiami różnokolorowemi lub do cienia i podłożona atłasem służyć może na szlaki do portjer, serwet do przykrycia stołów, do taboretów lub poduszek. *(D. n.)*



N. 33. Kapelusz ubrany kwiatami.



N. 30. Szydełkowa rozeta do ryc. 28—29.



N. 34. Kapelusz ubrany koronką.